

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 16 (58)

Jerozolima, 16 września 1945.

Rok III

ZDZISŁAW BRONCEL

BOWIEM ZAPOMNI ZIEMIA...



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

„Bowień zapomni ziemia, żeśmy pierwsi,
Zgubie i dziejom wydana załoga,
Za kęs ojczyzny bili się nie w pierś,
Lecz pieścią w pancerz silniejszego wroga,
Zapomną ludzie, że byliśmy szersi
Ponad granice — wiarą w świat i w Boga,
Zapomną wszyscy, prócz nieprzyjaciela
Poległej mierzwy... Matko Stworzyciela,
— Módl się za nami!

Czyliż i niebo o wszystkim zapomni,
Niczym na obraz stworzone człowieczy,
Że się podwójnie staniemy bezdomni,
Bez pospolitej i niebieskiej rzeczy,
Samotni w nocy rozgwieżdżonych gromnic,
Wyjści z ludzkiej i nadludzkiej pieczy,
Świeci szubienic i glorii rozstrzelani...
O jeśliś Matką jest Odkupiciela,
— Módl się za nami!

Z poematu „Litania do N. M. Panny”

Co roku, przeglądając 1 września gazety, szukamy u obcych znaku pamięci o tym, że właśnie w tym dniu rozpoczęła się przed kilkoma laty na ziemiach polskich walka odwracająca losy Europy. Co roku jest tej pamięci coraz mniej — związany z nami cywilizacyjnie świat zachodni zamyka się w egoistycznym kregu, dostrzegając początek zmagania dopiero tam, gdzie sam przystąpił do walki. Dziś, po sześciu długich, krwawych latach narastającego zwycięstwa i malejącej nadziei, otacza nas milczenie. Stajemy się zbyt trągnięci, by można było spokojnie o nas mówić, by można było pomyśleć o sprawie polskiej nie poruszając przygłuszonej struny serca, nie dotykając znieczulanej strony sumienia. Może więc dlatego tak lekko i chętnie przesuwamy się rocznicę wybuchu wojny o trzy dni później, oglądając tylko dzięki temu jako zwycięzcę tego samego, który nie ulękł się ryzyka i niebezpieczeństwa, gdy przyszło przeciwstawić się gwałtowi i przemocy.

Niedawno w Palestynie ukazało się luksusowe wydawnictwo poświęcone sojusznictwu zwycięstw. Zamieszczony tam skrót dzieł wojny posuwa się jeszcze dalej, określa bowiem cały okres aż do niemieckiego ataku na Francję jako tzw. *phoney war*, prawdziwą datę, rozpoczynającą drugą wojnę światową, widząc dopiero w dniu niemieckiego ataku na Belgię i Holandię. Tak więc między 1 września 1939 r. a 10 maja 1940 r. nie działo się nic.

Autorowi podobnego streszczenia przebiegu drugiej wojny światowej chętnie bym postawił książkę Kazimierza Wierzyńskiego: „Pobojowisko”^(*). Przerzucając jej karty mógłby dowiedzieć się o obronie Oksywii, Westerplatte i Helu, o uderzeniu gen. Kutrzeby, o walkach gen. Sosnkowskiego pod Lwowem, o dziesiątkach drobnych epizodów, w których spoza kronikarskiej notatki wygląda żywy człowiek — polski żołnierz.

(*) Kazimierz Wierzyński: „Pobojowisko”. Zbiór opowiadań z kampanii wrześniowej. W wydaniu angielskim: „The forgotten battlefield”, str. 194. Ilustrował Zdzisław Czermański. New York. Roy Publishers.

Prawda i legenda Września przechodziły różne fazy w opinii publicznej. Była ta walka tak samo bezkrytycznie potępiana, jak i apoteozowana. Najgorszą krzywdę wyrządziło jej społeczeństwo francuskie, kiedy to zimą 1939-1940 mawiano potocznie we Francji, że nie mający pojęcia o wojnie Polacy wciągnęli świat w zbrojny konflikt. Niestety w owym czasie sami dopomagaliśmy w obniżaniu wartości Września, nie zdążywszy jeszcze wyprostować się po klęsce. Runęła na nas bomba, ziemia i piach zasypały oczy, osłepieni — nie wiedzieliśmy, jak wspaniały propagandowy materiał, jaki imponujący dowód odporności narodu, dawała nam do rąk owa przegrana kampania. Dopiero błyskawice francuskiej burzy otworzyły oczy i nam, i obcym.

Jeżeli polskie czynniki polityczne mają za sobą w pewnej mierze błąd niewłaściwego przedstawiania Września światowej opinii, nie wynika stąd, by lekko przejść obok bolesnej sprawy. Wrzesień wywołał wstrząs sumienia narodowego. Wywołał poszukiwanie przyczyn klęski, rozbudził pasję przeanalizowania ojczyściej historii, zwrócił uwagę na zaniedbywane u nas sprawy gospodarcze i socjalne. Nie trzeba cytować Piłsudskiego, by móc powiedzieć, iż klęska byłaby prawdziwa dopiero wówczas, gdybyśmy przyjęli bez wyrzutu sumienia nagie załamanie bytu państwowego po dwudziestoletniej niepodległości. Miara goryczy, jaka wezbrała w ludzkich sercach, świadczyła przecież jak bardzo po polsku te serca czują.

Odwrót wrześniowy zagarnął ze sobą dwa pokolenia: tych, którzy bili się o Polskę w pierwszej wojnie światowej i tych, którzy w tej wywalczonej Polsce wyrosli. Starcy i dzieci zostawali w Kraju, owe zaś dwie generacje szły na obczyznę szukać dalszego podjęcia walki. Naturalną kolejną rzeczą one też musiały Wrzesień najgłębiej odczuć. Pokolenie starsze przekonało się, że nie dość niepodległość zdobyć — trzeba jej jeszcze bronić nieustannym wysiłkiem, kto zaś się tej służbie poświęcił, sygnując za miodu na końskiej kuli, temu już nigdy nie będzie wolno zamieniać jej na beztrudne wygody. Młodzi — poprzez Wrzesień — „stali się Polakami”, poznając starą prawdę, że w Polsce nie dziedziczy się siły, wolności jak dostatniego spadku, ale trzeba się o nią bić w każdym pokoleniu. „Pięćdziesiąt lat życia w wolności i spokoju — pisze Wierzyński w swej książce — jest daremnym marzeniem polskim od wielu wieków”. Musimy równocześnie tworzyć żołnierza i pisarza, równocześnie budować dom dla dzieci i stanicę dla zbrojnej warty.

Tę regułę polskiego życia Wrzesień uprzytomnił nam w dotkliwy sposób, przypominając zarazem, jakżeśmy próbowali od niego bez powodzenia odejść. Trudno się temu dziwić. Pokolenie Legionów chciało ziścić wypieszczone marzenia i dać nową wyrastającą młodzież szklane domy Żeromskiego, wzwyczał do zasobności, do budowania na wiele lat, — pielegnować młode szczenię, póki się w pełni nie rozwiną i nie dojrzej. Pokolenie wrześniowe zapłaciło im za ową bytną ufność i marzycielskość wybuchem oburzenia i goryczy.

Oczywiście na dnie niepowodzeń kampanii tkwi nasze własne ubóstwo. Bieda, kamienista bieda, z trudem wyorywana ze stratających wojnami gruntów. I tu znów młodzież, pragnąc widzieć państwo silniejsze i zasobniejsze, niż było w rzeczywistości, narażała się na niespodziankę prawdy przykrej i trudnej. Jeżeli w roku 1939 walczyliśmy w lasach, maszerowali nocami, dzielili się partyzanckie grupy szarpające z boku nieprzyjaciela, jeżeli tak bardzo przypominał się rok 1863, to między nami a Niemcami leżała różnica z górą: wówczas, różnica niemal stulecia normalnego istnienia, gromadzącego się bogactwa i potęgę.

Jest jednakże nakazem uczciwości dostrzec walory walki staczonej przez naród, do obowiązku zaś politycznego należy ukazanie ich obcym. Jeżeli na tym polu popełniono zaniedbania, zbiór opowiadań Wierzyńskiego, wydany po polsku i po angielsku, przynajmniej w części je wyrównywa.

Angielski tytuł „Pobojowiska” — „The forgotten battlefield” określa zobojętnienie opinii zagranicznej i nawarstwienie lat, jakie już przykryły wrzesień. Dla nas, mimo to, jest

ten przysłowiowy miesiąc polskiej jesieni ciągle żywy, a talent Wierzyńskiego, dojrzały, sięgający klasycznej niemal harmonii, sprawia, że rozgrywające się w książce wydarzenia muszą ożyć również i dla cudzoziemca.

W dziesięciu opowiadaniach zebrał Wierzyński epizody wojenne, kolekcjonując je troskliwie, tak by ukazać wszystkie rodzaje broni naówczas walczącej, a zarazem odbiec od rzeczy bardziej znanych i spopularyzowanych. W wojnie, którą nazywa raczej wojną żołnierza, niż wojną wodza, szuka świadectw obrazujących, jaka była istotna reakcja na wojnę, istotna postawa społeczeństwa wobec wroga. To też na każdej karcie epickich relacji, mistrzowsko łączących prostotę z patosem, spotykamy się z głównymi motywami wrześniowego dramatu: z niedostatkiem sił materialnych i z bogactwem, z rozrzutnością niemal, sił moralnych, z ową „jedyną sekretną bronią polską” — jaką od dawna jest pogarda śmierci i „bezwzględne oddanie dla przegranej sprawy”.

Przeglądamy w tych opowiadaniach jakby olbrzymi album, w którym plansze na przemian malował Grottger i Kossak, a w świetle wybuchów zjawiają się postacie żołnierzy, by za chwilę ustąpić miejsca innym: oto płk. Dąbek, dowódca Oksywii, przeznaczona ostatecznie kulą karabinu dla samego siebie, oto obrona Helu wyjmująca torpedy z unieruchomionych łodzi podwodnych, by przy pomocy zawartego w nich materiału wybuchowego odciąć półwysep od lądu, zamienić go w samotny ostatek, zlejący ogniem i ogniem spalany aż do swej podmorskiej podstawy. Nad Helem 53 samoloty niemieckie idą na dno Bałtyku i dowództwo napastniczej armii postanawia zdobywać wyspę desantem, wyznaczając do tego 20 okrętów i 200 bombowców. Sprawę raz jeszcze rozstrzygną polskie ubóstwo — skończyły się zasoby amunicji i Hel, niezdobyty ale bezsilny, kapituluje 1 października.

Tam, gdzie żołnierza z pustymi ładowniami otaczała ziemia, a nie morze, nakładano bagnety na broń. W ten sposób przebiegała się do Lwowa dywizja 11, złożona w znacznej części z ludzi kresowych, mieszkających na kraju państwa, z Ukraińców — żołnierzy wiernych sztandarowi Rzplitej. I znów, w chwili zwycięstwa dywizji, jak ścigające widmo wyłania się domowa bieda: dywizja nie posiada dostatecznej ilości wykwalifikowanych szoferów, by zabrać olbrzymi zdobyty sprzęt zmotoryzowany rozbitego pancernego korpusu „Germania”. Wszystko trzeba było spalić. Gdzieś indziej dowódca baterii ucieka ze szpitala, by w bandażach stanąć przy dziale, gdzie indziej jeszcze artylerzysta musi jedną porożbijaną baterią udawać aż trzy, zmieniając ciągle kierunki strzału.

Gdzieś w lasach koło Zamościa brzmi nagle pieśń, którą śpiewamy „rozłożoną na głosy pokoleń”: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Nad Bzurą armia gen. Kutrzeby przeżywa piekło całodziennego nalotu na otwartym polu, przeprawia się przez rzekę, zaszywa w lasy, goi rany, bacznie nasłuchując czy pieśń jeszcze trwa, czy jeszcze „nie wszystko skończono”. Wśród ciszy nocy dolatują odgłosy dział Warszawy. A więc jeszcze nie, jeszcze polskie strzały bronią niepodległej historii.

Gdy dowództwo straciło środki łączności i przestało panować nad ruchami wojsk, rozpoczęła się walka poszczególnych jednostek. Każda grupa biła się na własną rękę, już nie z nakazu państwa i jego rządu, ale z własnych decyzji i na własną odpowiedzialność. Naród dokonywał rozległego krwawego plebiscytu, opowiadając się za wolnością. Od tej chwili plebiscyt będzie trwał bez przerwy aż po ponowną walkę o Warszawę.

Kto w tamte wrześniowe dni przemierzał polskie drogi, poprzez zasłone uchodźczego tłumu dostrzegał tych, którzy zostawali na miejscu — chłopów. O nich właśnie opowiadał Wierzyńskiemu szeregowiec M., późniejszy minister i premier. Opisywał scenę rozprawy z niemieckim lotnikiem, rozprawy dokonanej widłami i cepami. W innym znowu miejscu chłopka matka, nie bacząc na niebezpieczeństwo ściągnięcia samolotów na własny dom i dzieci, gotuje strawę żołnierzom. — „A niech spalą, niech mi dzieci pozabijają, byle nasi wygrali!” — krzyczy w uniesieniu ucieleśniającym to, co było najgłębszą prawdą Września.

W numerze:

David J. Dallin: Czego chce Rosja na Dalekim Wschodzie. — Jan Karski: Posiedzenie parlamentu. — Zygmunt Nowakowski: Stefan Jaracz. — Arkady Fiedler: Rzeka Pokoju w Kanadzie. — Wiktor Weintraub: Od historii do polityki. — Jerzy Pietrkiewicz: Ballady dobrzyńskie. — Tadeusz Miłana: Mickiewicz w Ameryce. — ww.: List z Londynu: Bomba atomowa. — Wanda Wiewiórska: W podziemnych przejściach. — Stefan Tadeusz Norwid: Stosunki polsko-rosyjskie. — zb.: Z teatru.

Kiedy błędy stały się już zbyt dawne, zbyt znane, by wciąż je przypominać i straciły swą drażniącą ostrość wobec popełnienia nowych, ta wrześniowa prawda zagrowała ponad wszystkim. Pamięć przeżerająca dotąd serca staje się nagle chlebem powszednim i umocnieniem, a „Pobojowisko” lekturą, która krzepi. Na dalekiej obczyźnie sfrancuziali Polak wypowie do Wierzyńskiego słowami z „Pana Tadeusza”, poprzez którego na nowo nauczył się po polsku. Mazurek Wybickiego będzie na wszystkich polach bitew powtarzał wróżbę o nieśmiertelności naszego narodu, zamysłony w cyprysowej alei officer z kampanii 1939 r. przypomni sobie, jak odpowiedział zrozpaczonemu koledze: „Tysiąc lat, tysiąc polskich lat, to zostanie i to nas zatrzyma”.

Poeta podaje czytelnikowi ożywione wspomnienia. Wzbogacając dokumentację polskiego życia w dobie walki, wzbogaca jednocześnie i polską literaturę książką pełną męskiego liryzmu, pełną nastroju zamykanego w słowach piórem rozważnym, doświadczonym na najbardziej narodowej poezji tej wojny.

Dziś jesteśmy w stanie jedynie piórem bronić pamięci przeszłości i budować z niej przyszłość. Kiedy, będąc jeszcze w mundurze, jeszcze świeżo przeżywając przetrwaną w więzieniu klęskę wrześniową, usiłowałem w pisaniu wówczas wierszu łączyć gorzkość z miłością, a rozpacz z dumą, nie przeczuwałem, że kilka jego linii, umieszczonych na wstępie niniejszego artykułu, zabrzmi po paru latach niemal jak przepowiednia. Przepowiednia zapomnienia i ciemności...

Brońmy się przed nią. Umacniajmy słowo polskie, bo ono jedno nam pozostało i ono tylko zdolne jest tę ciemność rozświecać. Każdy numer pisma, każda książka są nadal utrzymaną pozycją.

I oto w takiej chwili raz po raz dochodzą głosy o uszczuplaniu się owego naszego ostatniego majątku. Idą w zastaw milczenia coraz to dalsze pisma, coraz to dalsze pióra. Jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych pisarzy polskich na emigracji mówi w liście, że czuje się już „pisarzem bezdomnym”. Zdawało mi się, że mu tego domu użyję, mając go jeszcze sam — choć tyle mniejsza jest waga i znaczenie mojego słowa — w dwutygodniku „W Drodze”. Dziś już i tego nie wiem.

Chwilami lękam się, że przecież nie sposób pokonać tych wszystkich trudności, tego bezwładu, tego braku odczucia odpowiedzialności za los placówki, z jakim „W Drodze” musi się stale porać. Lękam się, że pismo będzie musiało ulec, chociaż ze wszystkich stron świata idą listy świadczące o wspólności myśli i wzywające do dalszej pracy. Gromadzą się autorzy, spotykają dawni koledzy, poczynają ofiarowywać współpracę ludzi dzierżący najwyższe rangi w naszym piśmiennictwie.

Równocześnie właśnie wtedy nie nadchodzi oczekiwaną przesyłka, nie dość sprawnie docierają naleźności, nie dość widać jest ważną gdzieś daleko, daleko od naszego warsztatu, sprawa drukowanego polskiego słowa. Sprawa jednego więcej pisma. Jednego więcej „głosu ludzi wolnych”.

To nieoczekiwane zakończenie hołdu, oddanego książce poety, nie jest jeszcze pożegnaniem z czytelnikiem. Ale czuję wyraźnie, jak łatwo może się to stać i jak szybko mogę w jednym przynajmniej zrównać się z wybitnym pisarzem, o którym przed chwilą wspominałem: w jednym — w bezdomności. I choć to przewidzieć, Zapobiec, jeżeli spotkam dość ludzi dobrej woli.

Przyjaciele będą nas pocieszać: zostaniecie autorami piszącymi po angielsku. Smutna to pociecha. Pociecha gorsza od przykrej prawdy. Nawet, gdy zdola ktoś tego dokonać, wówczas słowo obce znacznie pokrywa cieniem słowo rodzime, będzie się wciskać na jego miejsce, będzie walczyć o bliskość wobec myśli i wobec serca. Zajmie powierzchnię, opanuje ją, zepchnie język ojczysty tam, gdzie od tak dawna żyła literatura w Kraju — w podziemiu. Ale tym razem w podziemiu własnego życia pisarza, własnego kunsztu, własnej pracy.

I tylko pewnego dnia, jak rzeka spod ziemi, słowo przebieje się ponownie ku światu. Tryśnie poezją. Bo ona jedna wciąż nam została, ona jedna jest w mocy zdierać zasłone zapomnienia, jaką rozwiesza nad nami i Ziemia i Niebo.

DAVID J. DALLIN

Copyright by „The American Mercury” and „W Drodze”

CZEGO CHCE ROSJA na Dalekim Wschodzie

Autor artykułu, łaskawie nadesłanego dla „W Drodze”, jest wybitnym rosyjskim autorem i publicystą, pracującym w Ameryce. Specjalność jego stanowią zagadnienia europejskie, a w szczególności sprawy sowieckie.

David J. Dallin jest m. inn. autorem następujących książek: „Soviet Russia's Foreign Policy, 1939-1942”, „Russia and Postwar Europe” oraz „The Real Soviet Russia”. Dwie ostatnie znajdują wkrótce obszernie omówienie na łamach „W Drodze”.

Zamieszczony poniżej artykuł był pisany na krótko przed przystąpieniem Rosji do wojny na Dal. Wschodzie i kapitulacją Japonii. Czytelnicy mają już możliwość sprawdzić, jak trafne były przewidywania Dallina, zwłaszcza w sprawie Mandżurii i Korei, ogłoszone na łamach „The American Mercury”.

Od chwili ogłoszenia w Europie Dnia Zwycięstwa wszystkie oczy zwróciły się ku Wschodowi. Sojusznicze floty spieszą z Atlantyku na Pacyfik, powietrzne armady przenoszą się z Francji ku japońskim wyspom, żołnierze przygotowują się do służby na Dalekim Wschodzie. Podobny też obrót wzięła polityka Rosji Sowieckiej, jedynego państwa, jakie graniczy bezpośrednio zarówno z Niemcami, jak i Japonią — stopniowo Sowiety stają się coraz bardziej aktywne na Wschodzie.

Poprzez decyzję nie odnawiania paktu sowiecko-japońskiego Moskwa złożyła swą spodziewaną ofertę uczestniczenia w podziale owoców zwycięstwa na Dalekim Wschodzie — w przekształceniu mapy Azji i zmianie azjatyckiego układu sił. Dlatego też tak ważna jest trzeźwa i wolna od sentymentów ocena sowieckich celów w tej części świata.

W Europie linia polityki sowieckiej jest, jak dotąd, zupełnie jasna. Powracając na utracone obszary dawnego carskiego imperium, bądź też zyskując nowe nabytki terytorialne, Moskwa powołała do życia w sąsiadujących z nią państwach tzw. „zaprzężone rządy”, pozostające w istocie rzeczy pod całkowitym wpływem sowieckim.

Jako usprawiedliwienie owego, zupełnie bez precedensu, rozszerzenia sowieckiej sfery wpływów, posłużyły rewindykacje historyczne i wymagania bezpieczeństwa. Jeżeli podobne argumenty są wystarczające dla zachodnich granic Rosji, tym większe znaczenie będą mieć w stosunku do jej granic wschodnich. W obrazie bowiem sytuacji na Dalekim Wschodzie jedno jest pewne: Moskwa zastosuje w Azji, i to w zwiększonej azjatyckiej skali, ten sam program, tę samą taktykę, te same zasady, jakie stosowała już w obszarze nadbałtyckim, w Polsce i na Bałkanach. Ci amerykańscy dziennikarze i publicyści, którzy mówią o Rosji jako po prostu „dopomagającej” Chinom czy Ameryce, biją jedynie rekord w dziedzinie pobożnych życzeń. Amerykanie zaoszczędzą sobie wielu rozczarowań, jeżeli zechcą uznać prawdę tego niezaprzeczalnego faktu: Chiny przeznaczone są do podobnej roli jak Polska.

W prasie pojawiły się doniesienia — lub, być może, tylko domniemania — że na konferencji w Jałcie Sowiety uzyskały wolną rękę w Mandżurii i na Korei, podobnie jak na konferencji w Teheranie uzyskały swobodę postępowania na Bałkanach i w Polsce. Wolno spodziewać się, że z błogostawieństwem czy bez błogostawieństwa pozostający członkowie Wielkiej Trójki, Stalin również i na Dal. Wschodzie zagarnie cele, o które od dawna zabiega.

Tak właśnie jak to ostatnio Edgar Snow określił w „Saturday Evening Post”: „Interwencja sowiecka przeciw Japonii oznacza nieuchronnie interwencję sowiecką w Chinach”. Na tym tle zwiększona kampania propagandowa na rzecz komunistów chińskich a przeciw rządowi Czang-Kai-Szeka, rozpoczęta przez Snow'a i jego współtowarzyszy, niedwuznacznie przypomina ofensywę propagandową przeciw Michajłowiczowi i Rządowi Polskiemu, przygotowując swego czasu teren dla jednostronnej sowieckiej akcji politycznej w Jugosławii i Polsce.

II

Należy również pamiętać, że sowieckie dążenia w Azji nie są podyktowane przez ideologię komunistyczną w większym stopniu, niż sowieckie ambicje w Europie, czy też na Środkowym Wschodzie. Pas chińskich i daleko-wschodnich terytoriów, które w różnych okresach XX wieku należały do rosyjskiej sfery wpływów, rozpoczyna się na granicy Afganistanu i rozciąga aż do Morza Japońskiego. Obejmuje on Sinkiang, Mongolię Zewnętrzną, cały obszar chiński położony na północ od Wielkiego Muru i, do pewnego stopnia, także i Koreę.

W słabo zaludnionym Sinkiangu (Chiński Turkiestan), terenie większym niż cała Francja, Chińczycy są mniejszością wśród licznych innych narodowości. Geograficznie i gospodarczo Sinkiang o wiele mocniej związany jest z rosyjskim Turkiestanem, niż z Chinami, które, oddzielone od Sinkiangu pustynią Gobi, z ledwością są w stanie zapewnić sobie władzę nad tą odległą prowincją. W początkach lat 1930-40 Sinkiang dostał się pod wpływ sowiecki; uchwyt Rosji rozluźnił się nieco w r. 1942, ale może być zaciśnięty z powrotem kiedykolwiek Rosja uzna to za właściwe. Tradycyjny wstęp „ruchów ludowych” już się tutaj rozpoczyna.

W latach 1911-12 carska Rosja zabrała

Chinom Mongolię Zewnętrzną, która odtąd — z wyjątkiem chaotycznego okresu rewolucyjnej wojny domowej — pozostawała w rzeczywistości, poza samą tylko nazwą, rosyjską prowincją. Mimo powtarzanego przez Moskwę uznania suwerenności Chin nad Mongolią Zewnętrzną, Mongolska Republika Ludowa jest taką samą marionetką w rękach Rosji, jaką była Mandżuria w ręku Japonii. Co się tyczy Korei, w r. 1896 uległa ona rosyjskiej ekspansji politycznej, wojskowej i ekono-

przez Moskwę równie całkowicie i bezwzględnie, jak jakiegokolwiek inna komunistyczna organizacja.

Od samego początku swego istnienia, tj. od r. 1922 komuniści chińscy byli ściśle związani z Moskwą, a nawet odegrali wielką rolę w rozwoju komunizmu w samych Sowietach. Właśnie na tle problemu chińskiego doszło do przyspieszenia brzemiennego w skutki starcia między Trockim a Stalinem. Od roku 1924 aż do zsyki Trockiego w r. 1927 kwestia komu-



(1) Sinkiang (chiński Turkiestan): sfera wpływów sowieckich w latach 1930-42. (2) Mongolia Zewnętrzna: pod wpływem Rosji od 1912. (3) Mandżuria: część południowa pod wpływami Rosji do r. 1905, część północna do r. 1917. (4) Korea: przed r. 1905 pod wpływami rosyjskimi. (5) Tereny na północ od W. Muru: strefa rosyjska uznana przez układ rosyjsko-angielski z r. 1896. (6) Hegemonia sowiecka w Chinach: związki z okupowanymi prowincjami.

micznej, trwając pod silnymi wpływami Rosji aż do wojny rosyjsko-japońskiej.

Mandżuria jest dzisiaj — o wiele więcej niż w przeszłości — najbardziej jaskrawym przykładem z całego imperialistycznego dziedzictwa carskiej Rosji w Chinach. Jeszcze przed 50 laty był to zacofany kraj, liczący nie więcej jak 10 milionów ludności. Japońska przedsiębiorczość zmieniła go w okręg przemysłowy i rolny o poważnym znaczeniu, w najsilniejszą w Chinach obcą bazę gospodarczą. Okres rozwoju pod panowaniem japońskim pokrył Mandżurię, liczącą już obecnie 40 milionów ludności (więcej niżeli Syberia i sowiecka Azja Centralna), siecią kolei i wprowadził nowe doniosłe przemysły. Kto zaś kontroluje Mandżurię, albo lepiej — ogromne zasoby mandżursko-syberyjskie, ten jakby trzymał maczugę wzniesioną nad resztą Chin.

Wszystkie te terytoria razem wzięte tworzą jedno nieprzerwane pole ekspansji od Afganistanu aż po Koreę. Wiele z nich jest pustynią, część najbogatsza leży na Wschodzie, tworzą one jednak jakby kontynent wewnątrz kontynentu, kontynent o 70 milionach ludności i niemal nieograniczonych możliwościach kolonizacyjnych. To, że rząd sowiecki jest zdecydowany opanować ten obszar — nie podlega dyskusji. Pytania mogą odnosić się tylko do formy i rozciągłości sowieckiego władania.

W Europie sowiecka polityka zagraniczna wyraźnie rozróżnia między krajami, zamieszkany przez Rosjan lub inne narodowości słowiańskie wchodzące w skład Związku, a krajami, gdzie większość stanowią narodowości „niesowieckie”. Tak np. wschodnie ziemie Polski zostały bezpośrednio wcielone do ZSRR, znaczną część Besarabii po prostu przyłączono do Sowieckiej Republiki Mołdawskiej. Natomiast w Jugosławii i Polsce utworzono „przyjazne” dla Rosji państwa, zachowujące formalną odrębność.

Niewielkie znaczenie ma ta różnica, gdy idzie o ostateczny rezultat. Prawdopodobnie Stalin będzie się jej trzymać, gdyż przedstawia ona poważny czynnik w jego systemie rozplątywania węzłów narodowościowych. Dlatego też jako przyszłego rozwiązania można oczekiwać raczej kontrolowania obszarów chińskich przy pomocy regionalnych marionetkowych rządów, niż bezpośredniej agresji.

Wstępnym warunkiem dla sowieckiego rozstrzygnięcia zagadnień Dal. Wschodu jest „przyjazny” rząd chiński — mniej więcej w rodzaju administracji wprowadzonej przez Kreml w Polsce. I oto w tym miejscu wchodzi na widownię komunistyczne rządy w pogranicznych prowincjach Chin.

III

Propaganda sowiecka od lat już czyni wysiłki, aby amerykańskiej opinii wpocząć spe cyficzne sądy o chińskich komunistach. Przedstawia się ich jako różnych od wszystkich innych ugrupowań komunistycznych na świecie, jako ludzi po prostu postępowych w swych celach i zupełnie niezwiązanych z Moskwą. W rzeczywistości grupa chińska była i jest jednym z najpoważniejszych odłamów między-narodowego komunizmu, kontrolowanym

nizmu w Chinach była najbardziej spornym zagadnieniem we wszystkich dyskusjach wewnątrz partii.

Komuniści chińscy, podobnie jak francuscy czy amerykańscy, pozostawali zawsze w zgodzie ze wszystkimi zmianami w generalnej linii partii. Opozycję likwidowano na wzór sowiecki. Wszelką wewnętrzną różnicę zdań określano jako „trockizm” lub „prawicowe odchylenie”, przeprowadzając bezwzględnie czystkę w tradycyjnym komunistycznym stylu. Podczas obecnej wojny ani raz komunizm chiński nie odważył się krytykować jakiegokolwiek sowieckiej decyzji czy akcji, nie pozwolił sobie na krytykę nawet wtedy, gdy chodziło o uznanie przez Stalina granic japońskiej marionetkowej Mandżurii, ani wobec sowiecko-japońskiego paktu o nieagresji.

Stalin przywiązywał wielkie znaczenie do wszystkiego, co łączyło się z zagadnieniem komunizmu w Chinach. Jest to zrozumiałe. Chiny są jedynym krajem obok Sowietów, gdzie władza komunistyczna zdołała się utrzymać od wielu lat, gdzie Czerwona Armia nie poniosła decydującej porażki i gdzie wojna domowa spełniła komunistyczne nadzieje na zwycięstwo.

Gdy Hitler zmiądzzył ruch komunistyczny w Niemczech, komuniści chińscy awansowali na pierwsze miejsce wśród nierosyjskich partii komunistycznych. Wielki exodus chińskiej czerwonej armii w latach 1934-35 przenosił często regimę u komunistycznego z południowo-wschodu, którym owdlał Czang-Kai-Szek, do prowincji północnych — bliżej Rosji i bliżej japońskiej strefy okupacyjnej. Był to wyczyn bez precedensu, dowód odwagi i ofiarności, wzmacniający siły chińskiego ruchu.

Dziś Yenan, czerwona stolica i cały podlegający jej obszar o tej samej nazwie, tworzą odrębne komunistyczne państwo chińskie, posiadające własny rząd, własną administrację, ustawodawstwo, policję polityczną i armię.

Dwa fronty oddzielają Yenan od świata zewnętrznego: na wschodzie front wojny z Japonią, na południu — Chiny Kuomintangu i Czang-Kai-Szeka. Głównie jednakże siły komunistycznych Chin należy szukać poza linią japońskiego frontu, we wsiach i miasteczkach, gdzie nie stoją japońskie garnizony okupacyjne.

Wiele miejsc na obszarze okupowanym znajduje się w rzeczywistości pod kontrolą komunistów. Twierdzą oni, że ludność ich kraju razem z częścią zajętą przez Japończyków sięga 80 do 90 milionów. Cyfra ta może być przesadzona, ale daje pewne pojęcie o zasięgu sowieckiego regimenu w Chinach.

Chińska czerwona armia ma liczyć pół miliona; tylko część żołnierzy jest normalnie uzbrojona, noże często są jedyną bronią u reszty. Będąc w istocie oddziałami partyzanckimi, jest to armia zbyt słaba, by podejmować regularną walkę z Japończykami, bije się więc głównie ze słabo wyposażonymi siłami centralnego rządu chińskiego.

Najistotniejszym jednak czynnikiem w sytuacji komunistycznych oddziałów partyzanckich w Chinach jest geograficzne położenie terenu, na jakim operują. Północne prowincje Szensi i Szansi są ich bastionem, chociaż rozporządzają oni znacznymi siłami także i w

innych prowincjach Północy — w Mandżurii, Szantungu, Hopei, Dżeholu, Czacharze, zarówno jak w północnej części Kiangsi.

Wszystkie te okręgi wraz z Mandżurią tworzą Chiny północne, graniczące z Rosją i związane z nią bardziej niż jednym tylko względem. Rząd „Prowincji Granicznych” jest „przyjaznym rządem”, takim właśnie, jakiego Moskwa potrzebuje w Chinach, a jego komunistyczna armia może być w każdej chwili wcielona do rosyjskiej Czerwonej Armii.

IV

Stosunki między rządem sowieckim a Czang-Kai-Szekiem ulegały w ciągu 20 lat różnym zmianom. Rozpoczęły się od ścisłej współpracy i aż do roku 1927 grupa komunistyczna wchodziła w skład Kuomintangu, współdziałając z Generalissimusem. Poważne tarcia rozwinęły się, gdy Komintern, zamierzając osiągnąć decydujące wpływy w Kuomintangu, polecił komunistom chińskim, ażeby zajęli się usunięciem grupy prawicowej.

Dla Czang-Kai-Szeka oznaczało to albo poddanie się Moskwie, albo gwałtowne zerwanie. Wybrał to drugie. W sporze o kolej wschodnio-chińską wojska sowieckie najechały Mandżurię w r. 1929, zaczynając bez wypowiedzenia krótką, krwawą wojnę. Aż do 1932 roku nie odnawiano zerwanych stosunków dyplomatycznych między Czang-Kai-Szekiem i rządem sowieckim.

W r. 1937 Moskwa zawarła z Czang-Kai-Szekiem pakt o nieagresji, a następnie zaczęła wysyłać drogą morską materiały wojenne dla Chin. Kiedy Japonia skierowała swe główne siły na południe, w stronę Siamu i Indochin — w środku roku 1940, sowieckie stosunki z Japonią wykazały nagle polepszenie. Odpowiadało temu równoległe ochłodzenie stosunków chińsko-rosyjskich. Gdy na koniec Japonia zaatakowała Pearl Harbour, uwalniając tym samym Rosję od groźby swej ofensywy, stosunki między Moskwą a Czunkingiem ponownie stały się napięte.

Tak więc przez cały czas tolerowanie Czang-Kai-Szeka przez Moskwę było wprost proporcjonalne do obaw Moskwy przed Japonią. Dziś, wobec Japonii stojącej w obliczu druzgoczącej klęski, polityka rosyjska przeciwstawia się rządowi chińskiemu o wiele ostrzej i o wiele bardziej bez obłonek, niż kiedykolwiek dawniej.

Główne zarzuty, wysuwane przeciw Chinom przez Rosję i jej propagandę w innych krajach, są zadziwiająco podobne do oskarżeń rzucanych na rząd polski, na Jugosławian skupionych wokół Michajłowicza i w ogóle na wszystkich tych, których przeznaczono do „wyeliminowania”. Oskarża się więc regimę Czunkingiu o niechęć do walki z najeźdźcą, o niezdolność do należytego zorganizowania ruchu podziemnego, o Czang-Kai-Szeka zaś głośli się, że jest otoczony przez faszystowskie projapońskie elementy i że jedynie rząd jedności, zawierający komunistów — coś w rodzaju koalicji Tito-Subasic — może ocalić sytuację.

Sojusz obu partii (komunistów i Kuomintangu), bez zespalania się ich sił wojskowych, stanowiłby czasowe wojskowe przymierze między dwoma niezależnymi państwami. Chiny narodowe nie są jeszcze przygotowane do uznania podobnej kombinacji. Jednakże sytuacja komunistów jest mocna i prawdopodobnie będzie coraz mocniejsza, skoro Rosja jest dziś już zdecydowana odegrać szerszą rolę w sprawach Dalekiego Wschodu. Możliwe, że pod naciskiem amerykańskim Czunking mógłby zostać zmuszony do kapitulacji, otwierającej w istocie rzeczy drogę do rozwoju sytuacji według jugosłowiańskiego wzoru.

Oficjalnym amerykańskim celem wojny na Dalekim Wschodzie, celem odbijającym uczucia większości Amerykan, było i jest stworzenie Chin prawdziwie zjednoczonych, niezależnych od Japonii i Rosji. Od początku było założeniem, że po pokonaniu Japonii nie może nastąpić w nagle powstałej próżni politycznej w Chinach ekspansja żadnego innego mocarstwa. Tak dalece, jak głoszą urzędowe oświadczenia, jest to nadal oficjalną amerykańską polityką.

Pesymiści wskazują, że w Europie również nie było celem amerykańskiej polityki zastąpienie hegemonii niemieckiej hegemonią drugiego mocarstwa — i że większość państw Wschodniej Europy dostała się pod bezapelacyjny wpływ rosyjski. Obawiają się więc, że tak świeża historia może sama powtórzyć się na Dal. Wschodzie, oczywiście — z lokalnymi wariantami.

Nawet gdy angielsko-amerykańska dyplomacja będzie dostatecznie silna i zręczna, ażeby nie dopuścić do zamiany całych Chin w sowiecką sferę wpływów, może jeszcze nie być dość zręczna, aby zapobiec podziałowi kraju na wielką strefę sowiecką na północy i na niezależne państwo południowe. Pozostaje otwarte pytanie, do jakiego stopnia tak okaleczone Chiny mogłyby korzystać z prawdziwej niepodległości, pytanie, które w istotny sposób będzie obchodzić potężną Rosję sowiecką.

Nie tylko przyszłość Azji, ale i los światowego pokoju zależy od jasno zarysowującej się interwencji sowieckiej w zagadnieniach Oceanu Spokojnego i od żądań polityki rosyjskiej, jakie zostaną postawione kosztem Chin.

JAN KARSKI

POSIEDZENIE PARLAMENTU

Drukujemy poniżej dalszy fragment z książki Jana Karskiego „A Story of a Secret State”, wybierając tym razem opis posiedzenia podziemnego Sejmu w okupowanej Polsce z rozdziału pt. „Parliament in Poland”.

Kazano mi przedstawić dokładny plan podróży. Jedyne ryzyko, jakie za sobą pociąga, stanowiło udawanie rodowitego Francuza. Hazard reszty polegał już na normalnych niebezpieczeństwach, jak: ewentualność wykrycia moich fałszywych papierów, nielegalne przekraczanie granic itd. Byłem jednak zdecydowany pokonać je. Po francusku mówiłem raczej dobrze, chociaż z widocznym obcym akcentem. Po drodze jednak, w Generał-Gubernatorstwie i w Niemczech, czekało mnie mówienie tylko po niemiecku. Chociaż niemieckim władałem słabiej, niż francuskim, wierzyłem, że zawsze uda mi się dostatecznie dobrze porozumieć.

Wyjeżdżając do Anglii miałem ze sobą zabrać dla rządu ponad tysiąc stron druku sfotografowanych na białych Contax, o rozmiarach dwóch lub trzech amerykańskich zapalek. Materiał ukryty w ręczce maszynki do golenia i tak świetnie zamaskowano, że schopek był prawie nie do odgadnięcia.

Z chwilą gdy wszystkie szczegóły były już systematycznie przygotowane, ogarnęło mnie uczucie spokoju i pewności. Metody Ruchu Podziemnego przy układaniu wyjazdów kurierów tak udoskonalono, że nawet trudno by je porównywać z metodami stosowanymi w początkowym okresie naszej pracy. Okres pionierski, kiedy to Gestapo złapało mnie z tak niebacznie narażonymi na wykrycie filmami, minął bezpowrotnie.

Na kilka dni przed wyjazdem łączniczka przyniosła do biura małą bibułkę, zawierającą krótką instrukcję. Treść jej brzmiała:

„Ma pan się stawić w śróde rano o godz. 10 w Politycznym Przedstawicielstwie Polskim. Grot i Rawicz będą obecni. Łączniczka Ira zajmie się techniką spotkania. Pańska łączniczka nawiązała kontakt z Ira”.

Grot był przybrany nazwiskiem Komendanta Polskiej Armii Krajowej. Rawicz był Delegatem Rządu.

Następnego dnia łączniczka przysłała do mnie do biura z Ira. Ira była grubą, apoplektyczną niewiastą, chodzącą ciężkim, zadzierzonym krokiem. Ogarnęła mnie nagła niechęć do tej przytłaczającej amazonki, gdy szeceklów zakomunikowała rozkazy głębokim, ochrypłym głosem. Wyrzuciła je ze siebie nieuprzejmie, bez żadnego wstępu.

— Ma pan się stawić u siebie w biurze punktualnie o godz. 8 rano. Spotka pana pewna kobieta i pańska łączniczka, które zaprowadzą pana na wskazane miejsce. Niech pan nie ma przy sobie jakiegokolwiek kompromitujących papierów. Dokumenty osobiste mają być we wzorowym porządku.

Westchnęła głęboko i mówiła dalej z niezasadzoną ostrością:

— Komendant i tak dość jest narażony na niebezpieczeństwo, nawet bez zaplątania go przez nieostrożność podwładnych. Więc proszę pamiętać: papiery w porządku i żadnej niepotrzebnej literatury przy sobie.

Spojrzałem na nią ironicznie: — Dziękuję za uprzedzenie, droga pani. Nie mam zwyczajnie chodzić obciążony kompromitującym materiałem jak juczny wielbłąd.

Puściła moją uwagę mimo uszu: — Miejsce będzie wskazane pod punktem, gdzie pana spotkam.

Przerwałem jej, mruknąwszy: — Bardzo uprzejmie z pani strony.

Znowu całkowicie zignorowała moje słowa: — Będzie pan obserwowany od chwili wyjścia z domu. Jeśli nikt nie będzie pana śledził i nie będzie podejrzania, że istnieje niebezpieczeństwo, zaprowadzą pana na miejsce spotkania. Jasne?

— Całkiem jasne — odpowiedziałem. — Czy przygotowała mi pani legendę?*

— Nie ma potrzeby — powiedziała krótko. — Miejsce, do którego pan się udaje, nie wymaga tego.

Ciężko zrobiła zwrot w tył i wyszła.

Przygotowania odbyły się szybko i składnie. O godzinie ósmej rano na rogu w pobliżu mego domu czekała moja łączniczka z niepozornie wyglądającą kobietą w średnim wieku. Po przedstawieniu mnie, łączniczka pożegnała się i odeszła. Poszedłem z ową młłą, inteligentnie wyglądającą panią do imponującego bloku mieszkaniowego. Weszliśmy do domu i wdrapaliśmy się na piąte piętro, gdzie moja towarzysząca zadzwoniła w umówiony sposób — raz krótko i raz długo. Drzwi otworzyła amazonka, którą poznałem poprzedniego dnia.

Poczułem, że odżywa moja niechęć, tak że nie chciało mi się nawet powiedzieć: „dzień dobry”. Zamiast tego dałem ujście swojej niechęci, co wyrażało się w krytycznych uwagach:

— Zła organizacja — powiedziałem surowo. — Sposób dzwonienia zbyt się rzuca w oczy. Jest to wyraźny sygnał i każdy, kto go usłyszy, od razu się na tym pozna.

— To nie pańska sprawa — ofuknęła mnie, jakby sparzyła pokrzywą. — Niech pan pilnuje swoich interesów.

Nie odpowiedziałem ani słowa, tylko spojrzełem na nią chłodno, jakby zaskoczony jej

złym humorem. Mieszkanie — co mnie zdziwiło — miało w sobie urok kobiecości. Porozrzucone wszędzie kolorowe poduszki, ozdobne firanki i lśniący obrus były bardzo wyszukane i wydawały się całkiem nie zgadzać z wyposażeniem właścicielki mieszkania.

Nagle zadzwonił telefon. Zdjęła słuchawkę z widełek. Rozmowa trwała krótko... Usłyszałem, jak powiedziała:

— Tak... tak. Bardzo mi przyjemnie, że już jej lepiej. Wkrótce was odwiedzę...

Odłożyła słuchawkę. — Gotów pan? — zagrzmięła.

Skinąłem głową.

— Bardzo dobrze. Pójdę pierwsza i będę szła o parę kroków na przedzie. Proszę iść za mną.

Pani, która mnie przyprowadziła, wyszła pierwsza. Ira wyszła za nią, a po krótkiej przerwie wyszedłem ja. Na ulicy Ira skręciła za róg na lewo nie patrząc za siebie, i szła, nie troszcząc się o mnie ani trochę. Musiałem się spieszyć, aby jej nie zgubić. Szła ostro przez pół godziny. Wreszcie stanęła przed jakimś kościołem i przesłizgnąwszy się wzrokiem na lewo i na prawo po ulicy, weszła do środka. Przeczekaliśmy po drugiej stronie ulicy przez pięć minut i również wszedłem do środka. Siedzieliśmy w ławce przed ołtarzem. Kościół był pusty, jeśli nie liczyć dwu starych modlących się kobiet, żebraka szukającego schronienia przed zimnem i kościelnego zajętego gorliwie okurzeniem jednego z bocznych ołtarzy. Usiadłem w jednej z ostatnich ławek i czekałem. Ira po kilku minutach wstała i przeszedłszy koło mnie i nie spojrząwszy w moją stronę, podeszła do drzwi w tylnej części kościoła, otworzyła je i zniknęła. Wstałem z ławki i pociągnąłem za nią.

Drzwi otworzyły się na długi, wilgotny korytarz, prowadzący na podwórze prywatnego domu. Ira, lekko mnie poprzedzając, weszła do sieni i następnie na drugie piętro. Tu głośno zastukała do drzwi.

Otworzył je młody człowiek średniego wzrostu. Był dobrze zbudowany i miał energiczne ruchy.

— Sprowadziła pani Witolda? — zapytał.

— Tak — powiedziała. — To on właśnie.

— Czy były jakieś trudności? — zapytał.

— Nie — odparła i dodała ostro — ale mogą być. Powinności zmienić miejsce spotkań. O tej porze roku zbyt mało ludzi bywa w kościele. Zanim to zrealizujemy się w oczy, wychodząc przez tylne drzwi.

Wyglądał na trochę zafasowanego: — Właśnie zamierzamy zmienić miejsce.

Ira pochyliła głowę w sposób, który można było wziąć za jej formę pożegnania. Młody

człowiek wyszczerzył zęby, gdy wyszła z pokoju.

— Twardy babsztyl, co?

— Trudno o twardszego — zgodziłem się.

— Dokąd teraz idziemy?

— Proszę ze mną.

Poprowadził mnie przez szereg małych pokoi i wąskich korytarzy w starym, opuszczonym domu. Zatrzymaliśmy się w pierwszym większym pokoju, gdzie prosił, abym poczekał. Poszedł, wrócił po chwili i gestem wezwał mnie do sąsiedniego.

Gdy wszedłem, zobaczyłem przy stole grupę ludzi, którzy stanowili o losach Polski. Byli to przywódcy głównych partii politycznych, Delegat Rządu, Komendant Armii Krajowej i Dyrektor Gabinetu Delegata. Znałem ich wszystkich bardzo dobrze z wyjątkiem przywódców Stronnictwa Narodowego i Chrześcijańskiej Demokracji. Byli to nowi ludzie, którzy zajęli miejsce poprzedników, niedawno właśnie aresztowanych. Tamtych znałem również bardzo dobrze.

Przywódcą Polskiej Partii Socjalistycznej, z którym wielokrotnie spotykałem się uprzednio, zbliżył się do mnie wraz z Komendantem Armii Krajowej.

Komendant Armii Krajowej był to wysoki, wytworny starszy pan, mówiący wolno, o poważnych, miłych ruchach. Dobrotliwie objął mnie ramieniem i powiedział: — Kiedy pan wyjeżdża do Anglii, młodzieńcze?

Odpowiedziałem krótko, z szacunkiem: — W ciągu tygodnia, panie generale.

— Czy wszystko przygotowane? — zapytał.

— Tak, proszę pana. Czekam tylko na ostatnie spotkanie z działaczami politycznymi żydowskimi i na oddzielne konferencje z przywódcami partii.

Komendant zaśmiał się krótko.

— Och, ta młodość! Naprawdę chce pan jechać? Podczas ostatniej pańskiej podróży mieliśmy piekielny kłopot z wydosławianiem pana z Gestapo. Ale, ale, jak wygląda pańska ręce?

Wyciągnąłem je przed siebie. Wszyscy zebraли się dokoła, aby się im przyjrzeć.

— Przeszedłem operację przeszczepienia skóry przed paru miesiącami — powiedziałem, patrząc na własne ręce, jakbym nagle odkrył je po raz pierwszy. Z wyjątkiem kilku małych blizn wyglądały się dobrze. Nasi lekarze wspaniale operują.

Stary działacz P.P.S., grzeszący może nadmiarem konspiracyj, przypatrzył się poważnie moim ręką. Odrobinę zirytowany tonem zauważył:

— Prawdę powiedziawszy, to nieostroż-

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

STEFAN JARACZ

Redakcja „W Drodze” pozyskała stałą współpracę wybitnego pisarza Zygmunta Nowakowskiego. Poniżej zamieszczamy jego krótkie wspomnienie o Jaracz, wygłoszone przez radio londyńskie na wieść o zgonie znakomitego aktora. W najbliższym numerze „W Drodze” ogłosimy obszerny felieton Z. Nowakowskiego pt. „Więc czegoż się mamy wyrzekać?”

Ze Stefanem Jaraczem schodzi do grobu tajemnica wielka i niezbadana, zamknięta dla nas na siedem pieczęci. Tą tajemnicą jest jego sztuka. Umarł aktor, który ze wszystkich aktorów polskich był może najbliższy temu, co zwykliśmy zwać „misterium”. Jaracz, stojąc na scenie w blasku tysięcy świec reflektorów, stał przecież zawsze jakby w cieniu głębokim. Widz, i to nie tylko zwykły, przeciętny widz, bo także i wytrawny, zawodowy krytyk, bo nawet i współwykonawca-aktor, nie zdawali sobie sprawy z tego, dzięki jakiemu procesowi Jaracz, grając jakąkolwiek rolę, więc na przykład i rolę komiczną, potrafi wciągać wszystkich w zaczarowany krąg owego cienia, w krąg misterium. Był obdarzony siłą olbrzymią, zdolną do wywoływania zbiorowego wstrząsu, który w teatrze greckim zwie się „oczyszczaniem”.

Tkwil w nim demon, demon teatru. Każda, powtarzam, każda rola Jaracza wywodziła się z tajemniczych stosunków łączących scenę z ołtarzem albo człowieka z piekłem. Jaracz był niewątpliwie narzędziem swego piękna, ale był przede wszystkim narzędziem bólu, rozpacz, smutku, grozy, lęku i uczuć podobnych, doprowadzonych do najsilniejszego wyrazu w nim samym a udzielających się widzowi. Zwykle, najkrótsze słowo, zatem na przykład „tak” lub „nie”, miało u Jaracza ciężar gatunkowy ołowiu, miało, co ważniejsze, treść wstrząsającą do głębi, samo w sobie było dramatem.

Umiął grać w sposób niezmiernie prosty, unikając sztuczek, efektów, gier, przede wszystkim przesady, a przecież nie waham się powiedzieć, że był to aktor najbardziej patetyczny ze wszystkich, jakich widziałem. Mówiąc to, podkreślam jednak, że słowo „patos” po grecku oznacza ból. W grze Jaracza był zawsze ból, cierpienie takie, które umiało sięgnąć do głębi trzewi widza i zatargać.

Był przeniknięty czy opętany patosem-cierpieniem. Sprawiło to, że na przykład rola naiwnego, prostego chłopca w komedii Pe-

ryńskiego pod tytułem „Szczęście Frania” wypełniona była po brzegi tragizmem wręcz kosmicznym, chyba niezamierzonym przez autora, nieprzeczuwanym przez widza. Bo też widz ów, idąc do teatru, kupił sobie bilet na komedię, ujrzał zaś jakby przez mikroskop rzecz niby zabawną a straszliwą, taką, na której widok człowiek wzdręga się, przymyka oczy, ociera pot z czoła i zamysła się nad rozmiarem zła, zawartego w kropelce. Mnie-mam, a raczej jestem pewny, że podobnym uczuciom ulegał widz, oglądając Jaracza, na przykład w „Szkołę Zon” Moliera.

Był to aktor najsilniej wzruszający zarówno widza jak słuchacza. Gdy przed wojną, w dłuższej serii wieczorów, recytował przez radio najbardziej pogodną scenę z „Pana Tadeusza”, audycje owe zawierały w sobie olbrzymi ładunek szlachetnego i zarazem tajemniczego wzruszenia, które trudno skwalifikować i ująć w jakieś kategorie ściśle, powtarzam bowiem, że wielka sztuka Jaracza była wielką tajemnicą, że była sama w sobie misterium.

Należał do znakomitego pokolenia aktorów, będąc rówieśnikiem Osterwy, Józefa Węgrzyna, Jerzego Leszczyńskiego i innych, poszedł jednak własną drogą, która wyłączała naśladowców, która nie może stworzyć szkoły. Jaracz był indywidualnością wyjątkową, nie dającą się sprowadzić do ram jakiegoś szczególnego emploi, grał bowiem wszystko, rolę tragiczną i komiczną, Fredrę i Żeromskiego, Perzyskiego i Moliera, grał w sztukach pisanych prozą i wierszem, w repertuarze wielkim i w małym, zupełnie małym, który jednak potrafił zaklinać w formę najbardziej artystyczną i najbardziej własną.

Nazwisko jego, to dziwnie brzmiące nazwisko „Jaracz”, wyprowadza znakomity uczoney, Aleksander Brueckner, od imienia „Horacy”. Gdy o tym myślę, narzucają się mej pamięci słowa Horacego z „Hamleta”, więc słowa „Pękło cne serce...” Ze śmiercią Jaracza pękło serce wiele. Z jego śmiercią uleciała dusza z wielu postaci „cnych” a wspaniałych, którym on dał życie, pełne najsłachetniejsze „patosu”, czyli „bólu”. Rola Jaracza to byli żywi, głęboko cierpiący ludzie. Na myśl o jego śmierci ogarnia nas właśnie patos, więc ból, pękło bowiem „cne serce”, dzięki któremu dostawaliśmy się, my, zjadacze chleba, w krąg misterium napiętniejszego, a zwanego teatrem, teatrem polskim.

ność ze strony organizacji posyłać pana w drogę. Te ręce mogą pana zdradzić. Gestapo z pewnością podkreśliło to w listach gończych rozesłanych za panem.

Przez chwilę zdawał się zastanawiać, po czym wzruszył ramionami.

— Nigdy nie można wiedzieć, co jest niebezpieczne, a co nie. Do diabła z tym wszystkim — zaczynamy posiedzenie.

Zrobiono jeszcze parę oddzielnych uwag, gdyśmy siadali za stołem. Delegat, stojąc w dalszym ciągu, przeczekał, aż ucichnie gwar rozmów, po czym przystąpił do otwarcia posiedzenia formalnym, uroczystym przemówieniem.

— Mam zaszczyt otworzyć trzydzieste drugie posiedzenie Politycznego Przedstawicielstwa Polski. Z uwagi na doniosłość porządku dziennego pozwoleń sobie zaprosić Komendanta Armii Krajowej, którego niniejszym witam. Celem posiedzenia jest zebranie materiału dla naszego kuriera Witolda, który zamelduje Rządowi za granicą i przedstawicielom partii politycznych na emigracji sytuację w Polsce oraz stan Ruchu Podziemnego. Nawiąże on również łączność z władzami Narodów Zjednoczonych i poinformuje je o sytuacji w Kraju. Rząd nasz będzie telegraficznie zawiadomiony.

Przywódcy poszczególnych partii dadzą Witoldowi materiał dla swych przedstawicieli w Londynie na oddzielnych zebraniach. Wierzymy, że spełni on tę funkcję bezstronnie i wręczy materiał tylko wskazanym osobom, nie bacząc na własny sąd i przekonania.

Dziś — mówił Delegat dalej — na obecnym wspólnym posiedzeniu Witold otrzyma rozkazy oficjalne, instrukcje i nasze stanowisko w najważniejszych zagadnieniach spraw politycznych. Łączność w sprawach wojskowych została nawiązana w inny sposób.

Obecni przemawiali kolejno, Dyrektor zaś gabinetu Delegata robił dla mnie krótkie stenograficzne notatki. Stenogram miał być później zasyfrowany i sfotografowany, aby służyć jako podstawa do mego sprawozdania w Londynie. Przywódcy przemawiali wolno, składając spokojne, pełne namysłu oświadczenia. Zdawali sobie sprawę, że ich słowa i sądy będą przyjęte przez ludzi w Londynie jako ostateczne i decydujące. Dla ludzi na emigracji sprawozdanie miało oddawać dążenia i uczucia okupowanej Polski:

— Jedność w Polsce musi być zachowana i wzmocniona... Rząd musi stanowić całkowitą koalicję... Ani jedna partia nie ma prawa pozostawać na uboczu i odmawiać podzielenia się wspólną odpowiedzialnością za pracę i politykę Rządu... Ciężkość Państwa Polskiego musi być nienaruszona... Wola narodu do poświęceń jest nieumniejszona. Nieugięte stanowisko w stosunku do okupanta będzie utrzymane za wszelką cenę... Winowajcy będą po prostu usuwani.

Ciągłość państwa nie oznacza trwania ustroju, który ostatnio w Polsce panował. Nowa Polska będzie demokratyczna. Dawna polska tradycja parlamentarna, która, o dziwo, odrodziła się w Ruchu Podziemnym, trwać będzie w Polsce powojennej...

Partie polityczne współpracują ze sobą w walce z okupantem i w popieraniu Rządu. Z całą pewnością różnią się one w swych programach — i chcą się różnić. Z chwilą uwolnienia od wroga, przeprowadzimy wybory do Sejmu, które określą polityczną i społeczną strukturę Polski i wykażą odpowiednią siłę każdej partii...

Uchodźcy muszą się wyrzucić wszystkich ambicji osobistych i zaniechać zatargów oraz wzajemnej niechęci. Muszą pojąć, że nie są oni ani lepsi, ani gorsi od tych, którzy zostali w Polsce. Głównym zadaniem tych, którzy znajdują się za granicą, jest pomaganie sojusznikom do zwycięstwa. Spodziewamy się, że do Polski powojennej przywiozą oni z emigracji znajomość najbardziej postępowych i światłych instytucji Ameryki i Anglii...

Przywódcy demokratycznego świata winni pamiętać, że wszystko, co mówią o Polsce, brane jest tu, u nas, dosłownie i nie jest traktowane, jak puste bombastyczne frazesy. Gdy było powiedziane, że „świat składa hołd Narodowi Polskiemu za jednolite, szlachetne i nieugięte stanowisko w czasie tej wojny i będzie o tym pamiętać”, cierpiąca ludność Polski przymuje to jako fakt, że „świat składa hołd... i będzie pamiętać”.

Posiedzenie trwało wiele godzin i zakończyło się mową Komendanta Armii Krajowej. W namyślnym przemówieniu zdanie „więcej broni” brzmiało jak mocny akord, powracający i powtarzający się ciągle. „Więcej broni...” tyle wyposażenia, ile tylko można... zastosowane zostanie wszystko, nic nie będzie zmarnowane. Każdy karabin, kula, nabój dynamitowy i granat będą użyte z jak największym skutkiem.

Dyrektor Gabinetu ciężko westchnął zmęczony i zamknął blok stenograficzny. Posiedzenie było skończone.

Do Rządu w Londynie i do naszej organizacji we Francji poszła krótkofalówka depesza:

„Karski wkrótce wyjeżdża. Jedzie przez Niemcy, Belgie, Francję, Hiszpanię. Zostaje dwa tygodnie we Francji, dwa tygodnie w Hiszpanii. Zawiadomie wszystkie „komórki przekazujące” we Francji, również przedstawicieli Sojuszników w Hiszpanii. Hasło: „Przyjeżdża zobaczyć ciotkę Zofię”. Zapowiedzieć jako Karskiego”.

*) Legenda — zespół informacji określających personalia, przeszłość, zawód i charakter fikcyjnej postaci, której nazwiska używa członek konspiracji.

ARKADY FIEDLER

RZĘKA POKOJU W KANADZIE

W dotychczasowym numerze rozpoczynamy druk felietonów głośnego polskiego podróżnika i autora, Arkadego Fiedlera, którego stała współpracą da „W Drodze” udało się nam pozyskać. Tematem kanadyjskich korespondencji Fiedlera będą możliwości osadnicze na drugiej półkuli oraz życie Polaków w Kanadzie.

I. PRELUDIUM NA PACYFIKU

Wezenną wiosną fatalnego roku 1939 jechałem z Europy na Pacyfik na francuskim statku „Sagittaire”. Pacyfik był wtedy jeszcze Oceanem Spokojnym, owianym romantyką Piotra Loti, opływaj wciąż jeszcze urokami lazurowych lagun i przyciągał z dusznej Europy i z nerwowości Ameryki specjalny typ ludzi: gwiazd wojny, twierdzących, że Ganguinów i Cwierz-Stevenssonów.

Rokło się od nich na naszym statku. Marzyl się o wielkim przeżyciu na Morzach Południowych i o słońcu na białych plażach, a właściwie nosili w sobie samych pełno tego słońca, które pragneli gasić na Tahiti. Najwięcej wśród nich jechało Brytyjczyków. Był to, słowem, statek znakomitych koniaków, łatwych romanów i rozkosznej beztroski, która (może niestety!) raz na zawsze, a przynajmniej na sto stulecie, przepadała z kreteśsem w kilka miesięcy później, we wrześniu.

Na statku jechała również mała grupa ludzi, trzech czy czterech, zupełnie odmiennie pokroju. Ludzi z innego świata. Nie byli weseli, ale też i nie smutni. Raczej cisli i skupieni. Młodzi Niemcy z Sudetów, do niedawna socjalno-demokratyczni, przeciwnicy Henleina, którzy po Monachium uciekać musieli przed zemstą swastyki nie tylko z Sudetów, lecz, jak się okazało, i z Czechosłowacji.

Wyroźniał się między nimi młody inteligent, żyd z pochodzenia, Kurt Braun, uprzejmy, ułożony, bez kompleksów rasowych, człowiek naprawdę miły i przy tym biegły w języku angielskim. Na rozsumionym statku trzymał się nieco na uboczu, lecz pewnego razu Brytyjczycy wciągnęli go do swej obojętnej kompanii na whisky, jako że umiał tak świetnie po angielsku. Przystał, lecz poprosił, by mógł wygłosić toast.

Ku osłupieniu młodych Brytyjczyków, i wszystkich innych, obecnych w salonie, Braun uderzył w jakiś niezwykle poważny ton, aż ludź wesołego bractwa prawdziwie zaskoczyli. Braun w uczciwych, mocnych słowach wyraził swą wielką wdzięczność rządowi Jego Królewskiej Mości i zakończył toastem na czesć króla. Uchodzą z Sudetów, niemiecki żyd — z toastem na czesć angielskiego króla! „Sagittaire” lubił silne i niezwykle emocjonalne, lecz to była chyba najosobliwsza z sensacji, jaka spadła na nasz statek na wodach Pacyfiku.

Później w podróży mówiłem z Braunem częste i przyjazne gawędy. Jako Polak, jadący na Tahiti, stałem gdzieś na duchowym pograniczu między wesołymi Brytyjczykami a zatroskanymi kontynentem europejskim, więc Braun chętnie ze mną rozmawiał i lubił mi się zwierzać. Wdzięczność jego dla Wielkiej Brytanii miała w istocie całkiem uzasadnione przyczyny: Brytania nie tylko wyciągała go z kotia europejskiego, lecz wyrobiła mu prawo stałego pobytu w Australii, zapłaciła mu bilet 2 klasy z Europy do Sydney i nawet na rozpoczęcie jakiegokolwiek pracy udzieliła mu (bezwrotnie, zdaje mi się) pożyczki w wysokości kilkuset funtów.

Gdy wyraziłem przypuszczenie, że spotkał go chyba jakiś wyjątkowy przywilej, może dzięki jego znajomości angielszczyzny, Braun energicznie zaprzeczył.

— Nie! Wielu tak samo dostało!... To znaczy: wszyscy z Sudetów, którzy dla ważnych politycznych przyczyn musieli i chcieli uchodzić z kraju!...

— Czy wielu ich było?

— Trudno mi powiedzieć. W każdym razie dobrych kilkuset.

Wtedy, na rozbawionym statku, wśród rumb i mamiełi szczęśliwych plaż, natknąłem się na pierwsze rany, zadane w naszej epoce ludzkości. Lecz równocześnie natknąłem się na wielką potęgę moralną, gojącą te rany. W brytyjskiej umysłowości muszę być silnie nurty humanitaryzmu, mało reklamowane, często zapoznane, lecz twórcze i praktyczne. Braun, którego życie zlamano w Sudetach, jechał do Australii, by rozpocząć tam nowe życie, jako hojny dar Wielkiej Brytanii. Jechał z wielką otuchą.

Ze otuchy jego nie była żądna, przekonałem się w kilka lat później, w 1945 roku, gdy po raz drugi zwiedzałem Kanadę. Poznałem tu dzieje osiedli nad rzeką Pokoju, Peace River, w Kolumbii Brytyjskiej.

Uchodzący z Sudetów przybyli tu w większej ilości, wyrzuceni ze swego kraju bez grosza przy duszę, a dziś, po pięciu latach, tworzą kwitnącą kolonię farmerów. Imperium Brytyjskie rozwiązało tu trudny problem osiedleńczy ze zdrową rozsądką, krępkim altruizmem i z wielkim powodzeniem.

II. PRECEDENS NIEPOMIENNEJ WAGI

Podkreślam: latem 1939 roku Imperium Brytyjskie, wykonując jeden z najciekawszych eksperymentów osiedleńczych ostatnich czasów, dało i precedens, i piękny przykład niesienia pomocy uchodźcom politycznym z centralnej Europy. Pomocy, powiedzmy zaraz na

wstępie, tak szczodrej i wielkodusznej, że chiliście przynosi Wielkiej Brytanii. Ktoś zawoła, że W Brytanii miała obowiązek stawiać na go, wobec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę. Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwał do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzekę Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba podatny na farmerów: byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze itd., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodząca Can. Pacific Railway, stanęła przed herkule-sowym zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowała wyjątkowy system. Po prostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę pn. The Tarte Creek Development Company, z zarządem w pierwszym okresie skłapaną, z zarządem z samych Kanadyjczyków, urzędników teżże Canada Colonization Association. W miarę jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objeli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B.C., razem 23628 akrów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania plągu i dojenia krow. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17.000 dolarów (to znaczy po 100 dol. na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za małą, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczano pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 r. do stycznia 1943 r., lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewiele znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane o okrągłakrog dla każdej rodziny z osobną, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się

z początku jak w społeczeństwie komunistycznym, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na go, wóbec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwał do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzekę Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba podatny na farmerów: byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze itd., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodząca Can. Pacific Railway, stanęła przed herkule-sowym zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowała wyjątkowy system. Po prostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę pn. The Tarte Creek Development Company, z zarządem w pierwszym okresie skłapaną, z zarządem z samych Kanadyjczyków, urzędników teżże Canada Colonization Association. W miarę jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objeli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B.C., razem 23628 akrów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania plągu i dojenia krow. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17.000 dolarów (to znaczy po 100 dol. na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za małą, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczano pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 r. do stycznia 1943 r., lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewiele znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane o okrągłakrog dla każdej rodziny z osobną, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się

z początku jak w społeczeństwie komunistycznym, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na go, wóbec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwał do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzekę Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba podatny na farmerów: byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze itd., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodząca Can. Pacific Railway, stanęła przed herkule-sowym zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowała wyjątkowy system. Po prostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę pn. The Tarte Creek Development Company, z zarządem w pierwszym okresie skłapaną, z zarządem z samych Kanadyjczyków, urzędników teżże Canada Colonization Association. W miarę jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objeli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B.C., razem 23628 akrów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania plągu i dojenia krow. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17.000 dolarów (to znaczy po 100 dol. na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za małą, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczano pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 r. do stycznia 1943 r., lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewiele znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane o okrągłakrog dla każdej rodziny z osobną, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się

z początku jak w społeczeństwie komunistycznym, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na go, wóbec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwał do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzekę Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba podatny na farmerów: byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze itd., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodząca Can. Pacific Railway, stanęła przed herkule-sowym zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowała wyjątkowy system. Po prostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę pn. The Tarte Creek Development Company, z zarządem w pierwszym okresie skłapaną, z zarządem z samych Kanadyjczyków, urzędników teżże Canada Colonization Association. W miarę jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objeli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B.C., razem 23628 akrów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania plągu i dojenia krow. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17.000 dolarów (to znaczy po 100 dol. na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za małą, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczano pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 r. do stycznia 1943 r., lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewiele znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane o okrągłakrog dla każdej rodziny z osobną, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się

z początku jak w społeczeństwie komunistycznym, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na go, wóbec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto budować drogi, i dystrykt Rzeki Pokoju stał się zrozumiałym magnesem dla ożywionego pionierstwa rolnego. Ruch osiedleńczy w te strony trwał do dziś.

Grupa Niemców sudeckich, przeznaczona nad rzekę Pokoju, stanowiła element ludzki najmniej chyba podatny na farmerów: byli to od pokoleń ludzie miasta, rzemieślnicy, robotnicy przemysłowi, dziennikarze itd., a wśród nich kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Ich opiekun, Canada Colonization Association z siedzibą w Winnipegu, instytucja pochodząca Can. Pacific Railway, stanęła przed herkule-sowym zadaniem. Do wyjątkowych trudności zastosowała wyjątkowy system. Po prostu (mówi się: po prostu, lecz było to podobno bardzo trudne) potraktowała uchodźców jak dorosłe dzieci, które trzeba było uczyć od samego początku abecadła rolniczego i niemal chodzenia na ziemi. Więc z kapitałem, z jakim uchodźcy przybyli do Kanady, stworzyła spółkę pn. The Tarte Creek Development Company, z zarządem w pierwszym okresie skłapaną, z zarządem z samych Kanadyjczyków, urzędników teżże Canada Colonization Association. W miarę jak Niemcy nabywali doświadczenia w rolnictwie, wchodzili do zarządu spółki, aż w końcu objeli go całkowicie.

Zarząd spółki kierował całą akcją osiedleńczą, dbał o wyżywienie w pierwszych czasach, kupował odpowiednie grunta (w miejscowości Tupper, B.C., razem 23628 akrów), tudzież inwentarz żywy i narzędzia. A co najważniejsze, od samego początku stworzył na miejscu rodzaj szkoły rolniczej, w której kilku stałych instruktorów czuwało dniem i nocą nad pracą uchodźców, ucząc ich wszystkiego, począwszy od ujmowania plągu i dojenia krow. Z ogólnego funduszu osiedla wyznaczono na cele owego kształcenia sumę 17.000 dolarów (to znaczy po 100 dol. na rodzinę i 50 dol. na kawalera), lecz suma okazała się za małą, gdyż nadzór instruktorów musiał trwać dłużej, niż przypuszczano pierwotnie. Trwał blisko 4 lata, od marca 1939 r. do stycznia 1943 r., lecz przerobił byłych mieszczuchów na pierwszorzędnych farmerów, tak gruntownie wykształconych i dostosowanych do roli, jakich niewiele znajdzie się w Kanadzie.

Oczywiście pierwszą uwagę zarząd zwrócił na domy mieszkalne, stawiane o okrągłakrog dla każdej rodziny z osobną, lecz wszystkie w dość zwartych grupach, przypominających układ wsi europejskich. Praca odbywała się

z początku jak w społeczeństwie komunistycznym, i podczas gdy część ludzi budowała domy dla siebie i innych, reszta uprawiała na go, wóbec ofiar układu monachijskiego. Obowiązek moralny! Wiemy, jak łatwo z tego dziś wykreślić się sianiem. Tymczasem Londyn wobec tych uchodźców nie wykreślił się sianiem, lecz wkroczył z energiczną pomocą.

Po Monachium, w wyniku zajęcia Sudetów przez Hitlera, kilkuset Niemców musiało uciekać z kraju. Byli to ludzie zatrudnieni przeważnie w przemyśle, wszyscy aktywni socjal-demokraci, którzy przeciwstawiali się do niedawna nazizmowi, znaleźli się teraz na bruku w Pradze. Wielka Brytania postanowiła ich ratować. Pomoc jej w głównych zarządkach wygładzała w ten sposób, że Londyn dał środki materialne (tytułem pożyczki dla rządu czechosłowackiego), i za te pieniądze rozlokowując uchodźców po Imperium Brytyjskim. Należy zaznaczyć, że poszczególne Dominia nie ponosiły żadnych kosztów i tylko przyjmowały ludzi wraz z pewnym kapitałem.

Kanada przyjęła wiosną i latem 1939 większość tych uchodźców, 374 rodzin i 75 kawalerów, pod warunkiem, że wszyscy pójdą na rolę. Na ich zagospodarowanie Dominium otrzymało z Londynu po 1500 dolarów na rodzinę, a po 900 dol. na niezamężną, czyli razem 622.400 dolarów. Rząd kanadyjski przydzielił imigrantów dwóm kolejowym towarzystwom, Canadian National Railway Co. i Canadian Pacific Railway Co., na które spadała odpowiedzialność za dalszy los przybyszów.

Dla orientacji należy wytłumaczyć, że owe dwie kompanie tworzą jak gdyby dwa potężne państwa w państwie, zainteresowane, poza kolejnictwem, niemal wszystkimi dziedzinami ludzkiej aktywności, przede wszystkim zaś rozwojem rolnictwa: przewóz piodów rolnych decyduje o budżecie kolei w Kanadzie. C.N.R. i C.P.R. to dwa główne narzędzia rozwoju ekonomicznego.

Canadian National Railway osiedliła swych uchodźców pod St. Walburg, Saskatchewan, Can. Pacific Railway — w Tupper, w Kolumbii Brytyjskiej, w tzw. Peace River Block. Osiedle w Tupper, ze względu na swe położenie w jednym z najciekawszych okręgów Kanady, zasługuje na szczególną uwagę.

Kanada jest wciąż jeszcze w gorzko-wym oddechu pionierskiej poczynają i nawet podczas obecnej wojny zrobiono na północnym zachodzie nowe odkrycia bogactw mineralnych, przekraczających niemal wyobraźnię ludzką. Kilkanaście lat temu, w innym miejscu, nad rzeką Pokoju, Peace River, tam gdzie wypływa z Gór Skalistych na rzyni Kolumbii Brytyjskiej i Alberta, zwrócono uwagę na niebezpieczny ogromny polacie żyznego czarnoziemiu. Gdy równocześnie stwierdzono, że klimat jest znośny, znośniejszy niż np. w Winnipegu, i że poza tym znajdują się tam obfite pokłady najlepszego węgla, zaczęto

TADEUSZ MITANA

MICKIEWICZ W AMERYCE

Wydany niedawno przez Polski Instytut Naukowy imponujący tom przekładów z Mickiewicza przez profesora Noyesa i jego entuzjastycznych i utalentowanych współpracowników, uważam osobiście za wydarzenie w dziedzinie związków duchowych Ameryki i Polski tak doniosłe, że krótkim swe uwagi zamierzam poświęcić nie tyle problemom techniki przekładowej, ile znaczeniu przekładów w ogóle, a świetnej książki prof. Noyesa w szczególności.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w świadomości przeciętnej inteligentnego człowieka praca tłumacza obdarta jest z aspektów glorii i uznania. Tylko nieliczna garstka ludzi — wśród nich, na szczęście, wielu najwybitniejszych poetów — w pełni docenia tkwią-

czalnych. Wyświadcza ponadto Polsce, zwłaszcza dzisiaj, przysługę tak wielką, że trudno dla niej znaleźć dostateczne słowa wdzięczności...

Takim właśnie dobroczyńcą naszym jest ów skromny, wytworny, siwy pan z Kalifornii, esteta i badacz naukowy pierwszej klasy, myśliciel-humanista, człowiek o rozumiejącym sercu, niezrównany znawca Polski, wykwintny wielbiciel Kochanowskiego i Mickiewicza — profesor George Rapall Noyes.

Wspaniały tom przekładów mickiewiczowskich w jego opracowaniu obejmuje, na przestrzeni około 500 stron, wszystko co jest najcenniejsze i najistotniejsze w twórczości Mickiewicza. Wprawdzie wydanie to nie za-

wiera Pana Tadeusza, ale osobny przekład tego nieśmiertelnego eposu, dokonany prozą przez prof. Noyesa, ukazał się już dawno i włączony został w serię wielkich utworów świata w „Everyman's Library”. Niektóre z tych utworów, oraz inne, nie objęte w omawianym zbiorze, przełożone były, też pod kierownictwem i przy czynnej współpracy prof. Noyesa, już wcześniej, i wydane przy innych okazjach. W formie obecnej tom ten jest najpełniejszym wydaniem w języku angielskim przekładów z Mickiewicza.

Najpełniejszym i — rzecz zasadnicza — najgruntowniejszym. Czytelnika polskiego uderza przede wszystkim fenomenalna wprost znajomość źródeł. Prof. Noyes przestudiował

najskrupulatniej wszystkie biografie Mickiewicza, wszystkie wydania zbiorowe jego pism, wszystkie dostępne studia monograficzne w różnych językach i bodaj wszystkie artykuły i prace o Mickiewiczu. Zna Mickiewicza na wylot. Jego wstęp krytyczny na 60 stronach jest wzorem wnikliwej krytycznej, umiaru, samodzielności i niepodległości sądu. Skromnie ukryty aparat naukowy uderza sumiennością, precyzją i pietystyczną ścisłością. Najdrobniejszy odprysk zagadnień mickiewiczowskich znajduje tu, w jakimś magicznym skrócie i czystości przekroju, swój wyraz i swoje echo.

To jeszcze nie wszystko. Poza tą niezwykle głęboką i istotną znajomością Mickiewicza i olbrzymiej literatury mickiewiczowskiej, ta

RZĘKA POKOJU W KANADZIE

(Dokończenie ze strony 4-ej)

każdego żołnierza czeka gratyfikacja pieniężna, wynosząca np. 30 dolarów za każdy miesiąc przebytu za morzem; czeka go do wyboru już przygotowane przez rząd gospodarstwo rolne czy rybackie, czy podmiejsko-warzywne, każde wartości 6000 dolarów, częściowo darowanych, reszta na wspaniały dom i wygodne życie; czeka małego businessmana pożyczka do 3500 dolarów, czeka akademika utrzymanie w wysokości 60 dolarów miesięcznie oraz opłaty uniwersyteckie kosztem rządu aż do ukończenia studiów, itd. itd.

Jeżeli problemat powracających żołnierzy można uznać za rozwiązany, to druga bolączka, obawa przed bezrobociem, sprawia więcej kłopotu. Mało kto wierzy tu w Kanadzie w powodzenie zbawianych planów zatrudnienia wszystkich pracowników na stałe, planów wyrastających jak grzyby po deszczu, — i ten fraszunek wytworzył wśród Kanadyjczyków znamienity kompleks: wiarę, że zbawienie przyjdzie od... Rosji Sowieckiej. Kanadzie wpojono nadzieję wielkiego eksportu do Rosji po wojnie, co — nawiasem mówiąc — odbija się na łamach większości prasy silnym akcentem antypolskim: wiele można czytać tu o landlordach i podobnych nieprzyjemnych rzeczach, a mało, lub prawie nie, np. o polskiej dywizji pancerniej, która walczyła w armii kanadyjskiej pod generałem Crerarem.

Ale pomimo ogólnej opinii ujemnej w sprawie imigracji są kora kanadyjskie, i to kora mające wpływ na drogi rozbudowy gospodarki kanadyjskiej i stojące niedaleko rządu federalnego w Ottawie, które odmiennie zapatrują się na tę kwestię i liczą się z możliwością imigracji europejskiej, czy to dla dobra rolniczego rozwoju samej Kanady, czy to jako narzucony z zewnątrz wynik rozładowania międzynarodowych napięć.

Koła te uświadamiają sobie, że straszliwie powikłane zagadnienie tak zwanych „displaced persons” w Europie, odłamów społeczeństw wyrzuconych dziś z własnego kraju dla przyczyn politycznych, — może przędnąć czy później odbić się u brzegów Kanady potężną falą, narzuconą krajowi przez międzynarodowe czynniki. Zapewniano mnie, że w Ottawie już teraz przygotowuje się, tymczasem cicho tylko i teoretycznie, na tę ewentualność, zbierając wszelkie potrzebne elementy, by móc ująć natychmiast w karby, w razie potrzeby, ułokowanie owych „displaced people”, do których zalicza się Finlandczyków, Czechów, Węgrów, Rumunów, przede wszystkim zaś Polaków, wymienianych na pierwszym miejscu.

Czy Kanada jest fizycznie zdolna do wchłonięcia większej ilości imigrantów? Natychmiastowe zastrzeżenie: żadnego imigranta, za żadną cenę, do jakiegokolwiek miasta. Miasto kanadyjskie to tabu. A na rolę? Co do ilości zdolnej ziemi poglądy są ogromnie podzielone. Jedni twierdzą, że Kanada mogłaby szybko pomieścić 5 milionów imigrantów, inni, że 10 milionów, jeszcze inni, że już nikogo nie może. Do tych ostatnich należy Frank R. Scott, który w swej pracy „Canada Today” dowodzi, że wszystkie grunta, zdolne do uprawy, są już prawie rozebrane, a teraz pozostaje tylko kwestia parcelowania większych majątków, tj. tych, co mają po kilkadziesiąt i więcej akrów. Parcelacja ta dałaby, według Scotta, 2 do 3 milionów nowych farm, lecz te rezerwy należało by trzymać dla siebie, dla potrzeb naturalnego przyrostu ludności. Więc żadnych europejskich imigrantów!

Jeden z moich informatorów, rządowy spec od spraw osiedleńczych, oświadczył, że Scott się myli, gdyż przyrost ludności z roli ciągnie nieprzeparcie do miast, pozostawiając ziemię dla kogoś innego.

Wśród tych różnych kontrowersji rząd kanadyjski, przygotowując w ostatnich czasach farmy dla powracających żołnierzy, zastawia jakby ogólny bilans ziem: jeszcze niezajętej. Farmy dla żołnierzy przygotowywano na bogatych preriach w tak zwanym pasie ekonomicznym, w tak wielkiej ilości, że wątpliwe czy wszystkie znajdą amatorów. A jeżeli żołnierze ich nie nabędą, to dla kogo pozostaną? W samej dolinie Kootenay, jednym z najżyźniejszych okręgów Kolumbii Brytyjskiej, rząd zarezerwował 2 miliony akrów (około 20.000 farm) i rozmówca mój wyraził przekonanie, że żołnierze z pewnością ani polowy tych gruntów nie obejmą.

Największy jednak kompleks ziem zdanych pod pług, otwarty stosunkowo niedawno temu dla eksploatacji, jest nad rzeką Pokoju, zarówno w Kolumbii Br. jak i w Albercie. Część tego kompleksu stanowi Peace River Block, sławny już dziś urodzajną glebą, znakomitym klimatem i bogactwem odkrytych równocześnie minerałów. Powstał tam już szereg osiedli farmerskich, między nimi sudeckich Niemców w Tupper, lecz, jak dowiedzialem się ze źródła najbardziej wiarygodnego, znajduje się jeszcze niezajętych 12 milionów akrów najlepszej ziemi pod orkę. 12 milionów akrów, to znaczy około 120 tysięcy farm.

IV. MOZLIWOŚCI POLSKIEJ EMIGRACJI

Jeżeli po wojnie ma przyjść do jakiegokolwiek imigracji do Kanady na większą skalę, np. części owych „displaced people” z Europy, to każdy tego rodzaju plan musi mieć na oku dwa zasadnicze cele: rozbrojenie ogólnej niechęci Kanadyjczyków do imigracji, a szczególnie do imigracji z kontynentu europejskiego; po drugie, uzbrojenie imigrantów w dostateczne do nowego życia środki materialne. Obydwa cele można osiągnąć za jednym pościąganiem, i udany eksperyment z sudeckimi Niemcami w Tupper, B.C., dał nie tylko uderzający przykład, lecz i kapitalny precedens: Kanada zgodziła się chętnie (może i niechętnie, ale to obojętne, skoro się zgodziła) przyjąć uchodźców i urządziła im pomyślne życie tylko dlatego, że przyjechali z odpowiednim kapitałem, dostarczonym im przez Wielką Brytanię.

Nie wypowiadał tu własnego zdania, lecz powtarzam tylko sugestie pewnego Kanadyjczyka, kompetentnego dyrektora od spraw imigracyjno-osiedleńczych: co w roku 1939 uczyniono z sudeckimi Niemcami, dziś można by powtórzyć, tylko w innej proporcji. W 1939 roku Wielka Brytania wzięła na siebie cały ciężar finansowy, co dziś jest niemożliwe. Dziś musi powstać jakaś instytucja międzynarodowa, bogata w środki materialne i w uprawnienia, oparta o autorytet Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych A.P. i równocześnie powagą moralną zdolna do rozwiązywania zagadnienia „displaced persons”. Zdolna narzucić swą wolę odnośnym krajom imigracyjnym, a w szczególności Kanadzie, z jej bogatym i czekającym rezerwoarem ziem nad rzeką Pokoju. Taka instytucja powinna być w rodzaju UNRRY, lub po prostu sama UNRRA, w której poważny głos mogliby zabierać także przedstawiciele samych uchodźców. W wypadku Kanady — oświadczył mi ów dyrektor — plan w powyższy sposób przeprowadzony i jej narzucony (dyrektor podkreślił: **narzucony**), miałby wielkie widoki powodzenia i mógłby dość szybko udzielić pomocy i wytchnienia skołatanym przybyszom z Europy.

W razie, gdyby widoki emigracji do Kanady miały wyglądać różowiej i Polacy w tym ruchu mieliby wziąć udział, chciałbym, by mi pozwolono wyrazić jedno ważne życzenie: byśmy do sprawy tej przystąpili uczciwie. Uczciwie, bez krętactw, bez kantów, ani pleców, ani łokci. Legitymację do tej przestrogi daje mi doświadczenie kilkunastoletnich wędrówek po koloniach polskich na świecie i na patrzenie się na nędzę ocyganionych emigrantów, ginących za to, że gdzieś, z wygodnych centr, kierowali ich losem ludzie niewłaściwi. Stało się u nas od lat jakimś tragicznym obyczajem, że do tych „kolonialnych” rzeczy zabierała się niekompetencja, karygodna lekkomyślność, chorobliwa ambicja i nieuczciwość, zwykła, paskudna nieuczciwość. Ludzi nieuczciwych nie brak nam i dziś.

Bez względu na to, jak nam będzie, dobrze czy źle, na wozie czy pod wozem, bez względu na to, jak ułożą się nasze przyszłe losy, nigdy nie zaszkodzi jak największa suma wiadomości o świecie: więc dobrze jest wiedzieć, że w Kanadzie nad rzeką o milę i nie-pustej nazwie rzeki Pokoju ciągną się poacie bogatej ziemi, czekającej na siewce i mogącej dać spokój i szczęście człowiekowi, który będzie domagał się tej ziemi uczciwie i energicznie. Na przykład człowiekowi pokroju tych, którzy znaczenie dawali takim nazwom jak Tobruk, Cassino, czy Falaise.

Arkady Fiedler



Młodzięczy portret Mickiewicza

historycznego, związków ideowych i estetycznych twórczości Mickiewicza z prądami literackimi Zachodu, praca prof. Noyesa wykazuje jeszcze inny, niezwykle cenny element, a mianowicie orku pełną intymność odczucia i zrozumienia psychologii życia polskiego w ogóle. Zdobył ją już chyba nie tyle drogą badań historycznych i teoretycznych, ile niewątpliwie drogą osobistego skąpania się w polszczyźnie za lat młodości w czasie swych studiów polonistycznych na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jestem skłonny przypuszczać, że bez tego kapitału bezpośrednich obserwacji, przeżyć i wspomnień polskich, bez osobistych kontaktów uczuciowych z Polską, tom przekładów mickiewiczowskich prof. Noyesa nie miałby w sobie tego utajonego ciepła i światła, które stanowią tak znamienne i tak ujmującą jego właściwość.

Tecniczny problem przekładu prof. Noyesa rozwiązał w sposób, który może nie ośniewa oryginalnością, ale za to pragmatycznością swoją daje bodaj najwyższą gwarancję ścisłości. Spośród garstki oddanych i zapalonych współpracowników tylko Mrs. Dorothea Prall i prof. Watson Kidkonnell opierały się bezpośrednio na oryginałach polskich. Dla reszty prof. Noyes dawał dosłowne, wiersz po wierszu, tłumaczenie prozą, z którego po licznych próbach powstawały przekłady wierszowane. Wynika z tego nieunikniona różnorodność poziomów stylistycznych i estetycznych, zwłaszcza w sferze poezji lirycznej, ale całość uderza dużym talentem, często nawet niepospolitym pięknem języka i obrazowania.

Wybieram dla przykładu rzecz wyjątkowo trudną dla tłumacza, fragment z Wielkiej Improwizacji:

„Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie,
— Godna to was muzyka i godne śpiewanie,
Ja mistrz, Ja mistrz wyciągam dłoń, Wyciągam aż w niebiosy i kładę me dłoń na gwiazdach,
jak na szklanych harmoniki kregach.
To nagym, to wolnym ruchem, Kręcę gwiazdy moim duchem. Milion tonów pynie, w tonów milonie, Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie. Zgadzałem je, dziele i łączę, I w tęczę i w akordy i w dźwiękach i w błyskawicę wstęgam...”

Then hear me, God and nature, for my song
Is worthy you, worthy to echo long.
A muster I.
I stretch my hands on high
And touch the stars.
Ah, see.
Now forth there peals
As from the illimitable crystal wheels
Of some harmonica, a melody.
And as the circles roll
I tune the turning planets to my soul.
A million notes stream on.
I catch each one,
I braid them into rainbow-colored chors,
And art they flow and flash like
lightning swords...

Niepospolita, trwała wartość dzieła prof. Noyesa stoi jednak czymś więcej, niż nieskazitelną interpretacją i poetycznym pięknym przekładem. Stoi poznaniem i miłością, a więc tym, co Pascal uważał za najwyższe wytwory ducha ludzkiego.

A za taką znajomością Polski i za taką dla niej miłością, jakich wyrazem jest monumentalne dzieło prof. Noyesa, nie dziękuję się słowami: dziękuję się sercem — sercem Polaka i człowieka.



Prof. Noyes

cy u dna inteligentnej pracy tłumaczeniowej element współtwórczości artystycznej i solidnej pracy myślowej. Mam wrażenie, że u dna tej powszechnej, a jakże niesłusznej i krzywdzącej opinii o rzekomo pośledniej roli tłumacza, tkwią pewne jednostronne założenia teoretyczne, dotyczące psychologii twórczości. Rozpowszechniony jest mianowicie pogląd, że wielka twórczość poetycka jest tak wyłącznie sprawą subiektywnych przeżyć poety, że żaden przekład nie może być wystarczającym ekwiwalentem zarówno wspomnianych doznań duchowych poety, jak też tego ogólniejszego, a równie nieuchwytnego podłoża społeczno-etnicznego, z którym te subiektywne doświadczenia poety są tak organicznie związane.

Zdaje mi się, że stanowisko to jest tylko częściowo słuszne. Zawiera ono w sobie jedynie fragmenty prawdy, głównie dlatego, że nawet najbardziej subiektywne przeżycia twórcy, choćby rozpalone w najwyższej temperaturze uczucia i przesycone najbogatszą wyobraźnią, zawsze przecież wyrażają równocześnie określoną treść pojęciową czy ideową, pewną konkretną koncepcję świata, życia i człowieka. Właśnie ta żywa treść myślowa i wzruszeniowa stanowi, mimo wszelkie bariery językowe i mimo wszelkie różnice środowiska kulturalno-obyczajowego, wspólną własność ludzkości, w każdym razie wspólną własność pewnego typu dziejowego kultury. Jeżeli tak, to świat pojęciowy każdej wielkiej poezji, jej wzniosłość, grębia i symbolika, da się niewątpliwie odtworzyć całkowicie drogą przekładów, aczkolwiek z pewną stratą dla swoistego żywiołu muzyki języka oryginału.

Dlatego w nowym powojennym świecie stosunków ludzkich i międzynarodowych rola tłumacza nabiera wyjątkowej wagi i znaczenia. Praca jego nie jest bowiem jakąś mechaniczną transmisją dzieła sztuki, ale jest zasadniczo twórczym aktem interpretacji i współpracy.

Właśnie z tego punktu widzenia dzieło prof. Noyesa i jego współpracowników, korona jego długoletniej, bo z górą ćwierć wieku obejmującej znakomitej działalności naukowej na polu polonistyki w Ameryce, jest rzeczywiście wydarzeniem wyjątkowym. Przeznaczono jest ono przecież nie dla Polaków, lecz dla tego potężnego świata kultury, którego językiem jest język angielski. Świat ten, jak przekonał się na tym gorzko, Polski właściwie nie zna. Nie zna nie tylko naszych dzieł politycznych, ale, co bodaj smutniejsze, nie zna Polski w jej kształcie obyczajowym, społecznym i etycznym, nie zna jej zwłaszcza w jej odrębności temperamentu, myśli i uczucia, jak nie zna jej również w związkach i pokrewieństwach kulturalnych, ideowych i filozoficznych z Zachodem.

Wszystkie te najbardziej charakterystyczne znamiona polskiej indywidualności narodowej zamknięte w sobie klasyczną prostotą wyrazu właśnie wielka twórczość Mickiewicza. On nadał jej najpełniejszy kształt poetyckiego piękna. I dlatego on, Mickiewicz, w znacznie wyższym stopniu niż jakakolwiek inna twórcza indywidualność polska w dziedzinie sztuki czy nauki, jest magicznym kluczem otwierającym Polskę światu, który jej nie zna. Kto w świat ten, zwłaszcza w świat anglo-amerykański wprowadza Mickiewicza, ten wprowadza weń całą Polskę, a zwłaszcza to, co pod nalołem rzecy drobnych, i przemijających, jest w niej sferą wartości nieznisz-

BOMBA ATOMOWA OD HISTORII DO POLITYKI

(KORESPONDENCJA Z LONDYNU)

(Dokończenie ze strony 5-cj)

Bank Holiday jest specyficznym świętem angielskim. Nie zostało ono wprowadzone — jakby ktoś mógł pomyśleć — ku czci św. Banku. Za to jest to próba wprowadzenia pewnego racjonalizowania w kapryśną dziedzinę świąt kościelnych. Świąta te porozkładały się w ciągu roku nierównomiernie: nie ma dwóch dni świąt w ciągu całego roku, wtedy kiedy ludzie najchętniej wyjeżdżają z miast. Stąd angielskie zarządzenie, że w każdy pierwszy poniedziałek sierpnia banki i urzędy będą zamknięte. Ten poniedziałek to właśnie Bank Holiday.

Ludzie mają wtedy możliwość spędzenia na wsi czy nad morzem dwóch czy nawet trzech dni (szereg biur zamyka się już w sobotę), stąd pod pozór miasto, zawsze u londyńczyków żywy, nabiera wtedy szczególnie masowego charakteru. W przedwojennych latach sprawa pogody na Bank Holiday, ułatwień komunikacyjnych, możliwości rozlokowania tłumów w miejscowościach podmiejskich — to była sprawa znaczenia niemal że ogólnonarodowego.

Toteż kiedy w przeddzień Bank Holiday wielkie nagłówki na czołowych stronach gazet popołudniowych informowały o tym, że temperatura podskoczyła do 85 Fahrenheitów, a same gazety wypełnione były wiadomościami o tym, jak na Victoria Station zebrały się tak wielkie tłumy, że ludzie po przeszło dwie godziny musieli czekać na pociąg, że w Bournemouth jest wielkie przepełnienie, a w miejscowościach nadmorskich hrabstwa Kent poniekądym wieciezkwiczom przyszło spędzać noc na plaży, — czytelnik mógł mieć wrażenie, że świat niemal wrócił do spokojnych, „normalnych” czasów, kiedy to gazety z kolowrotu codziennych wydarzeń z trudem montowały „sensację”.

I oto tuż po Bank Holiday, we wtorek siódmego sierpnia, gazety doniosły, że bomba nowego typu spadła na japońskie miasto Hiroshimę i że wybuch jednego funta uranu, zamkniętego w tej bombie, wystarczył na to, aby spalić całe miasto i zabić kilkadziesiąt tysięcy Japończyków. Tytuły, „headline’y”, donoszące o nowej bombie, złożone były z takich samych, ani odrobnie nie większych części, jak te, które dwa dni przedtem donosiły o nowej falie upałów. Ale ludzie zaraz zorientowali się w tym, co nowa wiadomość oznacza. „Nie ulega wątpliwości, — czytaliśmy w jednej z gazet, — że historia będzie się oddał dzieliła na dwie epoki, przy czym epokę do szóstego sierpnia będzie się nazywała preatomistyczna”.

Nowy wynalazek przynosił Anglikom od razu szereg pomyślnych następstw politycznych. Przede wszystkim zapowiadał, że wojna z Japonią skończy się lada dzień zwycięstwem. Zapowiadał też, że w konkerie wielkich mocarstw ta równowaga, która dotąd była niepokojąco naruszona na korzyść ZSRR, zostaje teraz za jednym zamachem przywrócona. A jednak pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło Anglików na wiadomość o wynalazieniu nowej broni, nie było uczucie radości. Było uczucie zgrozy. Było ono — rzecz prosta — przemieszane z uczuciem wielkiej ulgi na myśl, że ta nowa potworna broń znalazła się właśnie w ręku ich, Anglików i Amerykan, a nie kogo innego. Ale nie znajdowało ono swego ujścia w poczuciu upojenia potęgą, triumfem, siłą. Dominowało poczucie zgrozy i poczucie obrzydliwej odpowiedzialności, jaka spada na posiadacza tak potwornej tajemnicy.

Tego samego dnia, kiedy opublikowano pierwsze wiadomości o nowej bombie, w Queen Mary Hall odbył się wieczór, poświęcony pamięci Valery’ego. Odczyt o Valery’u wygłosił na nim prof. Denis Saurat, były dyrektor Instytutu Francuskiego w Londynie. Odczyt był bardzo francuski: dowcipny, przeplatany anegdotami, a równocześnie esencjonalny i głęboki. W zakończeniu odczytu Saurat powiedział, że Valery był na tyle szczęśliwy (tak: szczęśliwy), iż zdążył umrzeć jeszcze przed wynalezieniem bomby atomowej. I przypomniał przy tym jego znane powiedzenie: „*Nous savons, nous autres civilisations, que nous sommes mortelles*”. Słowa te wypowiedziane były przez Valery’ego jeszcze przed wojną. Ale teraz właśnie nabrały one szczególnie złowrogię aktualności. Nie wielu chyba było na sali słuchaczy, przez których nie przeszłoby w tym momencie dreszcz zgrozy.

Reakcja prof. Saurata była bardzo wymowna, ale — mógłby ktoś zarzucić — nie typowa: prof. Saurat jest Francuzem. Typowe reakcje znaleźć można było w gazetach i tygodnikach, przede wszystkim w listach czytelników do redakcji pism. Listów tych wszędzie było pełno. Z listów ogłoszonych w samym tytulo „Timesie” można by było złożyć już gruby tom.

Przed wszystkim dyskutowano w nich problem natury moralnej: czy aliansi mieli prawo posłużyć się taką bronią, czy też nie. Zdania były bardzo różne: ktoś, w liście do „Timesa”, powołując się na swoje przeszło 90 lat, domagał się zarejestrowania jego głosu, jako protestu przeciwko barbarzyństwu, za jakie uważa użycie takiej bomby. Ci, którzy użycia jej bronili, powoływali się przede wszystkim na argument, że bomba doprowadziła wojnę do szybkiego końca, skróciła czas jej trwania.

Sporo też było w prasie dyskusji na temat odpowiedzialności uczonych za nowy wynalazek. Uczucie dumy z tego, że uczeni brytyjscy odegrali wielką rolę w przygotowaniu bomby atomowej i poczucie podziwu mieszało się z akcentami — żalu? wyrzutu? Zadziwiająco często natrafiał czytelnik pism na przytoczenie przykładu Leonarda de Vinci, który zniszczył swój projekt łodzi podwodnej, kiedy uświadomił sobie, do jakich celów mógłby służyć.

„Time and Tide” wygotowała nawet pod adresem uczonych cały akt oskarżenia. Dzisiejsi uczeni, — brzmiało to oskarżenie, — są tylko ekspertami, tylko specjalistami w swojej dziedzinie, wykonują ślepo wszelkie zlecenia, nie są pełnymi ludźmi, nie zastanawiają się nad dalszymi rezultatami swojej pracy, nad jej sensem. Odpowiadano na te zarzuty — nie bez racji — że uczeni walczyli o to, co społeczeństwo, które ich wydało i w którym mają do spełnienia swoje funkcje, że nie ma się prawa stawiać im innych wymagań moralnych niż reszcie społeczeństwa.

Rozdźwięki w sprawie moralnego uzasadnienia użycia bomby atomowej najgłośniejszy wyraz znalazły w głośnym incydencie z dziekanem St. Albans. Dziekan ten odmówił odprawienia nabożeństwa z powodu zwycięstwa nad Japonią. Oświadczył, iż zwycięstwo zostało osiągnięte tak barbarzyńskimi metodami, iż nie chce w to mieszać Pana Boga. Było z powodu tego protestu sporo

huku. Oficjalne nabożeństwo musiało się w St. Albans odbyć w kościele metodystów, mówiło się o zasuspendowaniu dziekana. Ale skończyło się na enuncjacji arcybiskupa kanterburijskiego, najwyższego dostojnika duchownego w kościele anglikańskim, który oświadczył, iż skoro bomba atomowa doprowadziła do skrócenia okresu wojny i związanych z wojną cierpień ludzkości, należy być za nią wdzięcznym. Tak zażegnano w kościele anglikańskim „herezję atomową”.

Warto jeszcze przytoczyć à titre de curiosité kazanie, jakie na temat bomby atomowej ogłosiła „News Chronicle”. Trzeba bowiem wiedzieć, że gazeta ta — lewicowa, radykalna, i po „Daily Worker” najbardziej z całej prasy londyńskiej prosowiecka — zamieszcza obok normalnego serwisu dziennikarskiego także i „Jednomnutowe kazania”. Oto nasze kazanie:

„Nawróćcie się, synowie ludzcy. (Psalm 90, werset 3).

Dziwny werset. Można by go tak rozumieć, iż Bóg doprowadza człowieka na granice unicestwienia i każe mu potem zawrócić.

Dlaczego pozwolił on na wynalezienie czegoś tak strasznego jak bomba atomowa? Oto, o co niektórzy czytelnicy się pytają. Jedyną uczelnią odpowiedzią jest „nie wiem”, ale słowa Psalmisty warto są rozważać.

Jedno jest pewne. Cały świat po raz pierwszy wyczytał ostrzeżenie: „Nie tędy droga”. Dzień, w którym posłucha rozkazu „Nawróćcie”, będzie dniem zbawienia. (Drugie list do Koryntian, 6, werset 2)”.
Bez względu jednak na to, czy to się ludziom podoba, czy też nie, bomba atomowa jest dziś faktem, i to faktem o bardzo doniosłych następstwach. Za jednym zamachem przestarzała stała się i cała dotychczasowa technika wojny, i sprzęt wojenny. Bomba atomowa musi wpłynąć nie tylko na nowy układ stosunków politycznych, ale zaważy także i na strukturze społecznej powojennego świata. Perspektywa potwornego zniszczenia, jakie użycie jej pociąga za sobą, czyni rzecz palącą potrzebą sprawę szybkiej i skutecznej kontroli, która by zapewniła, że nie będzie ona użyta w przyszłości. Anglicy dobrze zdają sobie sprawę z tego, że w stosunkowo szybkim czasie tajemnica bomby atomowej przestanie być wyłącznym udziałem Anglosasów. Wiadomo np., że znany rosyjski fizyk, Kapica, od lat pracuje nad rozbijaniem jądra atomowego.

Istnieją co prawda ludzie, którzy twierdzą, że z chwilą wynalezienia bomby atomowej, wojna sama się automatycznie wykończyła. że ryzyko strat będzie teraz tak potwornie wielkie, iż nikt nie odważy się na wzięcie go na siebie. Wolno się jednak obawiać, iż ludzie tak rozumujący mają zbyt wysokie wyobrażenia o zdolności ludzkiego kierowania się rozumowymi pobudkami.

W.W.

WANDA WIEWIORSKA

W podziemnych przejściach

(Z pamiętnika uczestniczki Powstania Warszawskiego)

Przez okno wpadła blask z płonącego domu. Cała ulica w ogniu. Z czarnych oczodolów kamienicy wysuwają się czerwone języki ognia i liżą coraz wyższe piętra. Góra leca tuż nad dachami wrocie samoloty. Rzucają bomby i zapalające płyty na bezbronne miasto.

Godzina 5.30. Otrzymujemy rozkaz przedarcia się do dzielnicy Mokotów. Łączność zerwana. Pozostaje droga przez kanały.

Wysokie gumowe buty, spodnie i kurtka drelchowa, na głowie gumowa czapka, na szyi melunek. Zaciskam dłoń na moim małym browningu. Ostatni uśmiech komendanta i w drogę...

Kłęby dymów z płonących domów, a wśród nich jak iskry, rozpalone walka oczy powstańców — szaleńca. Po ulicach miasta pełzają cienie, dumnie sterczące szkielety domów wyciągają swe poczerwiałe kikuty ku niebu, które milczy. Idziemy wzdłuż barykady, jesteśmy już przy władzy. Z hukami upadła na bruk ulicy odsmięta płyta. Przywarliśmy do muru. Cisza...

Po wąskiej prostopadłej drabince schodzimy w dół kanału. Ciemno. Zimno. Pod nogami chłupie woda; nie dużo jej, sięga zaledwie kostek i jest czysta. Powietrze względnie czyste. Bardzo niewygodnie jest iść. Posuwamy się w pozycji na pół zgiętej, właściwie na czworakach. Przed sobą trzymam deseczkę, na której opieram się silnie rękoma dla utrzymania równowagi, gdyż wyprostować się nie można — kanał za niski.

Posuwamy się wolno z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Nie mamy nawet planów kanału.

Kanał rozwił się. Skracamy na prawo. Według obliczeń przewodnika jest to ulica Marszałkowska. Rura nieco większa, stan wody podnosi się. Iść już jest ciężko. Woda brudna, pełna kału. Oblepionymi, cuchnącymi rękoma wyciągam z kieszeni kostkę cukru. Mięśnie naprężone zaczynają boleć, nerwy napięte...

— Cicho! — Każdy szept wydaje się krzykiem przeraźliwym, echo tak niesie i rozdzwania w pustych rurach.

— Psst! — góra może nieprzyjacieli idzie. Niemcy już wiedzą o tym, że chodzimy kanałami, do wodu tego powpuszczane do rur na sznurach granaty, tak że idąc można się o nie potknąć. Trzeba je przeciąć, by móc iść dalej.

Idziemy już kilka godzin. W ustach wysycha. A tu jedyna butelka wina i rozbiła się.

— Cicho, na miłość boską!

Zmęczeni, zapominamy o pewnych ostrożnościach i głośno ciągniemy ciężkie buty. Mui sięga już wyżej kolan, wlewa się do butów... a echo huczy jak wodospad.

Ten ciągły szum wody i ciemność kompletnie mąci myśli. Dwie kurierki, które prowadzimy, proszą o odpocznęcie. Stajemy na chwilę zgięci; głowa opada coraz niżej — obolala od stałych uderzeń o niski pułap kanału.

— Proszę pani — słyszę szept przewodnika — czy... czy pani ich wyprowadzi, gdyby im pał? Biorę za rękę Podziemnego. Puls wali. Ma wysołą gorączkę. Jest ledwo przytomny.

— Zblądziłyśmy? — pytam.

Przykład G.M. Trevellyana jest ciekawy. Jeszcze i z innego względu. Jak wiadomo, nauka historii znajdowała się pod koniec XIX w. pod znakiem coraz dalej idącej specjalizacji. Ale w początkach bieżącego stulecia zaczęła się przeciwko tej specjalizacji buntować. Najwybitniejsi, najbardziej reprezentatywni jej przedstawiciele, to właśnie ludzie, którzy nie są „specjalistami” w ciasnym znaczeniu tego słowa.

Nazwisko Crocego samo się tu ciśnie pod pióro. Ale Croce ze wspaniałą uniwersalnością swoich zainteresowań, to indywidualność zupełnie wyjątkowa. Nie brak jednak i innych przykładów. We Francji ruch ten dzięki Henri Berrowi znalazł nawet swoje ramy organizacyjne w „Centre de Synthèse”. We Włoszech przytoczyć tu można Ruffiniego, w Niemczech — Meineckego, w Rosji — Wippera, w Rumunii — Iorgę.

Otóż G.M. Trevelyan z ludźmi tymi to ma wspólnego, że trudno by powiedzieć, od jakiej epoki jest „specjalistą”: ma on w swoim dorobku książki o Anglii epoki Wickliffa, Stuartów, królowej Anny, historię Anglii XIX w. i biografię Greya, znanego przede wszystkim jako ministra spraw zagranicznych w momencie wybuchu pierwszej wojny światowej. Nie jest on też specjalistą wyłącznie od historii Anglii: pisał o Garibaldi i o r. 1848 w Wenecji.

„Historia Europy”

Tę rozległością zainteresowań bliski jest G.M. Trevelyanowi — H.A.L. Fisher, zmarły z początkiem tej wojny autor innego znakomitego „best sellera” historycznego: „History of Europe”, książki wielokrotnie przedrukowywanej i na wiele języków tłumaczonej. Zasięg zainteresowań Fishera był aż niepokojąco rozległy. Wśród drobnych prac jego jest m. inn. szkic, pogadanka radiowa, o Wirgiliuszu i studium o Paul Valérym. Znany jest on głównie jako ceniony autor książek o Napoleonie i bonapartyzmie, ale w bibliografii jego prac znaleźć można także książkę o epoce Tudorów.

„History of Europe” pobiła wszystkie te książki popularnością. Od różnych kompilacyjnych zarysów historii wyróżnia ją nie tylko to, że wyszła spod pióra człowieka, który był bogatą i subtelną indywidualnością, ale także i to, że jest ona wyznaniem wiary liberała, który niejako próbował wytrzymać siłą swojej doktryny liberalizmu poprzez ciąg dziejów Europy. To właśnie daje jej jednolitość ujęcia i piętno osobiste.

Przeglądając w katalogu British Museum spis ogłoszonych przez Fishera książek, łatwo pomyśleć, że był to człowiek, któremu całe życie przeszło w bibliotekach i archiwach. Tymczasem kiedy się sięga do jego autobiografii, przy pracy, nad którą zastała go śmierć i która wyszła pt. „An Unfinished Autobiography”, czytelnik przekonany się, że Fisher swoją działalność historyka traktował jako coś drugoplanowego, za główne zaś opus życia swego uważał „Education Act”, który przygotowywał jako minister oświaty w gabinecie wojennym Lloyd’a George’a. Przy czytaniu tej autobiografii trudno się oprzeć wrażeniu, że tylko klasę liberałów w r. 1922, klasę, z której partia liberalna się potem nigdy już więcej nie podniosła, zawdzięczać należy... jego owocną działalność naukową.

Polityka i historia

Jako przykład polityka, który w latach czy przymusowej bezczynności, czy po wycofaniu się z życia politycznego poświęca się działalności naukowej i wyrasta nie na dyletanta, parającego się historią, ale na pierwszorzędного historyka, Fisher jest zjawiskiem bardzo specyficznym angielskim i wcale w życiu angielskim częstym. Oczywiście, od razu naprasza się nazwisko Winstona Churchilla, autora wielotomowej biografii Malborough. Ale nam idzie tu o ludzi, którzy do potomności przeszli przede wszystkim jako wielcy historycy (innych nazwisk niż pierwszoplanowe nie ma tu sensu wymieniać), wolno zaś wątpić, czy wśród tytułów chwali Churchilla tytuł historyka wysunie się na czoło.

„Chief Secretary” do spraw Irlandii, a później ministrem do spraw Indii był wybitny historyk XIX w., liberał John Morley, autor biografii Cromwella, Cobdena, Burkego i Gladstone’a.

Wreszcie również „Chief Secretary” do spraw Irlandii (wygląda to po trosze tak, jakby premierzy brytyjscy XIX w. traktowali administrację Irlandii jako rodzaj seminarium historycznego dla tych spośród ministrów, którzy mieli zainteresowania historyczne) był James Bryce, też jedna z czołowych postaci galerii liberałów angielskich drugiej połowy XIX i początków XX w. Przed pierwszą wojną światową był on przez kilka lat ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Nie był to banalny ambasador. Umiał sobie na tym stanowisku zjednać wyjątkowy mir i uznanie Amerykanów. Żaden Anglik tak jak właśnie Bryce nie przyczynił się do tego, że Stany Zjednoczone wzięły udział w wojnie po stronie Wielkiej Brytanii.

Bryce jest autorem przede wszystkim dwóch znakomych książek: napisanej w latach młodości historii Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego od wczesnego średniowiecza do zlikwidowania przez Napoleona („The Holy Roman Empire”) oraz napisanej już w późniejszym wieku książki o Stanach Zjednoczonych („The American Commonwealth”). Kto by chciał jednak zdać sobie sprawę z klasy pisarskiej Bryce’a, ten lepiej zrobi, jeśli znajomość z nim rozpocznie od lektury zawartej w tomie szkiców biograficznych „Studies in Contemporary Biography” charakterystyki Gladstone’a. Mało jest chyba w światowej literaturze historycznej biografii, które by mogły się równać z tym kilkunastuoszowym szkicem pełnią, subtelną charakterystyką, precyzją w cieniowaniu i — wielką mądrością życiową.

Przytoczone tu trochę pele-mele przykłady wybitnych historyków angielskich wyjaśniają w pewnej mierze, gdzie tkwi tajemnica bliskich związków historiografii angielskiej z szeroką masą czytelników. Jedną z przyczyn jest fakt, że wśród pierwszoplanowych historyków jest sporo ludzi, którzy politykę znali nie tylko z archiwów i którzy mocno tkwili we współczesnym sobie życiu politycznym. Drugą — jest rozległość zainteresowań poszczególnych historyków.

Historycy angielscy są dobrze świadomi tego powiązania swej specjalności z życiem. G.M. Trevelyan podnosi, jak dobrze się stało, że ojciec jego zabrał się do pisania biografii Macaulaya nie zaraz po jego śmierci, ale znacznie później, kiedy miał już duży zapas doświadczenia życiowego, niedawno zaś zmarły historyk oxfordzki, archeolog i filozof R. G. Collingwood w swej (łatwo dostępnej, bo przedrukowanej w serii „Pelicanów”) „Autobiografii”, historii bardzo gruntownie przemyslanego żywota, idzie jeszcze dalej: wysuwa hasło nauki jako „broni” w walce ideologicznej. Słowo jest niebezpieczne i nasuwa przykre skojarzenie. O nauce jako narzędziu walki mówi się w każdym ustroju totalistycznym, najgłośniejsze w ZSRR. Miarodajny dla pierwszych piętnastu lat historiografii sowieckiej Pokrowskiej szczylił się tym hasłem jako jedną z podstawowych zdobyczy marksowskiej historiografii. Pokrowskiej od trzynastu lat już nie żyje, naukę jego dawno już bolszewicy wyrzucili — żeby się posłużyć zwrotem ze słownictwa jego i jego uczniów — na śmietnik historii, ale ta właśnie zasada przeżyta go, i dzisiaj Klio sowiecka sprzedaje swoje wdzięki na każdym zakęcie rosyjskiej polityki.

Ale si duo faciant idem... W państwach totalistycznych związek nauki z życiem reguluje policjant, w ustrojach demokratycznych proces ten dokonany się samorzutnie: decyduje tu stopień związania się ze współczesnym życiem historyka i reakcja na jego dzieło masy czytelnicej.

Wiktor Weintraub

STEFAN TADEUSZ NORWID

STOSUNKI POLSKO-SOWIECKIE

Poniższy fragment jest wyjątkiem z przygotowanej do druku w Londynie książki „Kraj bez Quislinga” opisującej życie i nastroje społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecką.

Atak Hitlera na Rosję oceniano w Warszawie jako niezmierne korzystny zarówno dla naszych zachodnich sprzymierzeńców, jak dla perspektyw państwa polskiego na przyszłość. Układ polsko-rosyjski z lipca 1941 r. odbił się szerokim echem w całym kraju. Sowietów stały się w ciągu tygodnia popularne w Polsce. Sympatie dla Rosji nie były chyba nigdy u nas tak żywe, jak na jesieni 1941 r. Nie dość na tym, nastroje były wręcz przyjazne, co znaczyło dużo, jeśli się weźmie pod uwagę najazd Rosji na Polskę w r. 1939 i zeznania około dwóch milionów jej obywateli. Po pakcie Sikorski-Stalin i po pobycie Sikorskiego na Kremlu, Polacy byli naprawdę skłonni zapomnieć doznanych od Rosji krzywd i ustosunkować się do niej jak najlepiej. Ta reakcja psychiczna Polski była daleka od jakiegokolwiek oportunizmu i „realnej polityki”, gdyż Rosja ponosiła wówczas na froncie jedną klęskę za drugą i nikomu się wtedy nie śniło o jej przyszłych powodzeniach orężnych. W Warszawie mówiło się, że po wygranej przez Sprzymierzonych wojnie Rosja będzie odbudowana, podobnie jak Polska, i że w interesie obydwu narodów leży jak najbliższa współpraca. Było w tym całe morze polskiej dobrej woli; wierzone w nową historyczną erę stosunków polsko-rosyjskich.

Niemcy, do czasu wybuchu wojny z Rosją, dyskretnie lecz konsekwentnie informowali ludność polską o tym, co się dzieje po drugiej stronie Bugu. Prasa niemiecka w języku polskim, radio, szeptana propaganda ze źródeł niewątpliwie niemieckich, bardzo szeroko donosiły o zeznaniu przez Rosjan dwóch milionów naszych obywateli na Sybir, do Kazachstanu i do tundry w pobliżu Peczory. Miało to na celu wykazanie Polakom, że pod zaborem niemieckim nie jest im jednak tak źle, że w okupacji sowieckiej jest gorzej. Bo istotnie do czerwca 1941 r. Niemcy mieli na swoim sumieniu... zaledwie około pół miliona polskich istnień.

Po zdobyciu przez Niemców Lwowa, na początku kampanii rosyjskiej, społeczeństwo polskie mogło się zorientować w rozmiarach sowieckich zeznań i rozmiarach szkód, jakie półtoraroczne panowanie rosyjskie wyrządziło polskości na ziemiach wschodniej Polski. Przybyło wówczas do Warszawy wielu obywateli, którzy uniknęli zeznań i którzy składali relacje o przebiegu tej zorganizowanej na gigantyczną skalę „japaniki”. Relacje te jednak nie znalazły wówczas należytego oddźwięku, mimo rezerwy wobec polityki Sikorskiego, zachowywanej przez ten ośm społeczeństwa, który lepiej się orientował w wewnętrznych stosunkach Rosji i nie wierzył w zmianę jej intencji.

Pakt polsko-rosyjski Niemcy przyjęli jako cios polityczny i nie ukrywali swego gniewu i rozczarowania. Byli jednak tak pewni zwycięstwa, że porozumienie skłonni byli traktować raczej humorystycznie. Ale nawet mój „Treuhänder” był niezadowolony:

— Traktowaliśmies mimo wszystko lepiej niż Rosjanie, — powiedział mi kiedyś, — a jednak posłaliście z nimi... popełniliście wielki błąd... dalszemu hitlerowcom w ręce broń, która będzie skierowana przeciw nam. Nie będę się dziwił, jeśli obecny kurs wobec Polaków zaostriżysz się jeszcze bardziej... Nie przez to nie uzyskacie u Rosji, a pogorszycie swe położenie u nas... Czy nie rozsądniej było zachować się biernie?

Byłem przekonany wówczas, że „Treuhänder” się myli. Jak każdy Polak, miałem zaufanie do abstrakcyjnej sprawiedliwości międzynarodowej i wierzyłem, że lojalność i uczciwość muszą na daleką metę dać lepsze rezultaty, niż tzw. totalna polityka realna. Tylko niewielki odłam naszych obywateli przypuszczał, że Rosja nie oceni tej lojalności Polski, która w tak konkretny sposób wzięła na siebie tragiczną rolę państwa „buforowego”. W r. 1941-42 Rosja miała w swoim ręku kartę polską w grze przeciw Niemcom, jak nigdy przedtem w historii.

Oczywiście, że nastroje uległy radykalnej zmianie z chwilą, gdy na wiosnę w r. 1943 Rosja jawnie wysunęła żądania terytorialne w stosunku do naszych Ziemi Wschodnich. Ziemie te, to połowa obszaru Polski z r. 1939. Wszyscy w Kraju zdawali sobie sprawę, że taka aneksja stanowiłaby jedynie początkową fazę pochłonięcia całej Polski. Gdy o puszczałem Kraj w końcu lata 1943 r., nastroje były raczej pesymistyczne. Choć zdawano sobie sprawę, że Niemcy już wojnę przegrały, coraz więcej osób rozumiało, że przegrana ta przed Polską, która najwięcej poniosła ofiar, nie otwiera różowych perspektyw. Bo trudno nazwać różową perspektywą przejście z objęć jednego w objęć drugiego protektora totalnego. Pytano się mnie zagrańcami, czy w Polsce istnieje dużo ludzi o sympatiach prorosyjskich.

Odpowiedź na to nie jest tak prosta, jak odpowiedź na zapytanie o sympatie proniemieckie. Sympatii proniemieckich nie ma i ze zrozumiałych względów być nie może. Natomiast co do Rosji, bezwarunkowo istnieje znaczny odłam społeczeństwa, który rozumie, że Polskę powinny łączyć z Rosją dobre stosunki, który tych dobrych stosunków prag-

nie, z zastrzeżeniem jednak, aby nie prowadzić w konsekwencji do tego, że Polska utraci połowę swego obszaru i stanie się XVII republiką Związku Sowieckiego. Polacy są społeczeństwem naprawdę demokratycznym, nie przemawiają przeto do nich totalistyczne argumenty „realnej polityki” i „efektywne metody polityczne”, należące do tego samego arsenału.

Klas we właściwym słowa znaczeniu w Polsce dziś nie ma. Tzw. klasy wyższe zostały już zniszczone. De facto istnieje tylko proletariatus, i to przeważnie pozbawiony nawet tej własności, którą najbiedniejszy proletariatus rozporządza w Anglii czy w Ameryce. Takie zagadnienia, jak np. uspołecznienie ciężkiego przemysłu, kopaliń, czy reforma rolna bez odszkodowania, — które przed wojną budziły ożywione dyskusje, — dziś nie wzbudzają żadnego zainteresowania. Wszyscy się już z tym po prostu pogodzili, że po wojnie własność prywatna będzie bardzo ograniczona. Dziś zagadnienie prawa jednostki, poszanowanie obywatela — po prostu, zagadnienie własności duchowej i całej skóry — jest zagadnieniem daleko ważniejszym i konkretniejszym, niż zagadnienie własności materialnej czy kwestia ustroju gospodarczego. O ile radykalizacja Polaków poszła bardzo daleko, jeśli chodzi o ewolucję idei własności prywatnej w kierunku jej uspołecznienia — o tyle postulat, dotyczący praw politycznych i wolności jednostki, nie zmienił się ani na jotę, pozostał bez zmiany postulatami zachodniego społeczeństwa demokratycznego. I jestem pewien, że żaden ustrój nie-demokratyczny nie jest w Polsce możliwy. Polacy będą walczyli raczej do ostatecznego wyniszczenia, niż pozwolą sobie narzucić jakąkolwiek totalną formę rządu. Przypuszczam, że przede wszystkim tej, a nie innej właściwości polskiej psychiki zbiorowej zawdzięczać należy, że w Polsce nie było Quislinga.

Pomimo zupełnego spauperyzowania Polski i pozbawienia jej obywateli własności prywatnej — Polacy we wszystkich przekrojach społeczeństwa nie przestali być fanatycznymi zwolennikami demokracji, tj. praworządności i gwarancji praw obywatelskich jednostki, a przeciwnikami totalistycznego

niewolnictwa. I to uchodzi Polsce za największy kapitał, który chcemy włożyć do budowy lepszego świata powojennego.

Te nastroje antytotalne rozwinęły się nie tylko w Polsce, gdzie są one najsilniejsze, ale rozszerzają się coraz bardziej w krajach bałtyckich i na Ukrainie. Przebywając w r. 1942-43 w Gdyni, która była wówczas istną wieżą Babel, spotykałem tam towarzyszy niedoli Łotyszów i Litwinów, miałem kontakty z Bałtami, tj. Niemcami pochodzącymi z krajów bałtyckich, przyjaźniłem się z inteligentnymi Ukraincami. Z rozmów tych wyniosłem niezbłą pewność, że jeżeli jakikolwiek naród doznał dobrodziejstwa okupacji totalistycznej, staje się wrogiem totalizmowi i fanatycznym wielbicielem swobód demokratycznych. Dziś w całej Europie środkowej swobody te są daleko wyżej cenione niż wartości materialne. Nie należy też przypuszczać, aby przeciwny Litwin, Ukrainiec, Łotysz czy Polak w głębi duszy robił jakąkolwiek różnicę między totalizmem niemieckim czy rosyjskim. Wszystkich przestały interesować zasady i ideały, w których imię państwa te walczyły, natomiast jedno pozostało dotkliwie i niezmienne dla szarego człowieka — metody polityczne i zaprzeczenie praw jednostki, zaprzeczenie prawa do prywatnego życia, swobody ruchów, poglądów — zaprzeczenie treści samego życia ludzkiego.

Jeńcy rosyjscy w Gdyni nie próbowali nawet uczyć się jakiegokolwiek obcego języka. Mówili tylko po rosyjsku, a gdy ktoś nie znał tego języka, traktowali go jak niemowę. Byli naogół dobroduszni i koleżeńscy w pracy, przy czym nie oszczędzali sił. Uchodzili jednak za nieodpowiedzialnych i dlatego stronił od nich. Znajdowały się jednak wyjątki dość lubiane, jak np. Lisienko. Był to dwudziestoparoletni podoficer czerwonej armii, który się ukrywał przed obozem jeńców. Zdolny, sprytny, pracowity, zawsze uśmiechnięty i wesoły.

Razem z Lisienką malowałem przez szereg dni burtę okrętu, siedząc na zwisającej na linach z pokładu desce. Toteż rozmawialiśmy wiele. Lisienko miał zupełnie te same maniere, co i inni Rosjanie, ten sam apetyt

Z TEATRU

Powrót na scene

Bus-Fekete: „Jan” — komedia w 4-ach aktach. Zespół Polskiego Koła Przyjaciół Teatru w Jerozolimie. Reżyseria: A. Szczepański — dekoracje: T. Terlecki.

Polskie Koło Przyjaciół Teatru wraca na scenę jerozolimską, wystawiając popularną przed wojną komedię pt. „Jan”. Jest to w ogóle powrót teatru, którego uchodźstwo w Palestynie było pozbawione od czasu załamania się imprezy teatru szkolnego. Wdzięczna publiczność, gorąco przyjmująca „Jana” i wykonawców sztuki, jest dowodem, jak bardzo potrzeba tego rodzaju rozrywki i jak miła i pożyteczna praca mogłaby mieć jerozolimscy artyści-amatorzy.

Podjęmujący ponownie swą działalność teatrzyk uniknął wielu spośród dotychczasowych błędów, jakie nieodłącznie towarzyszyły każdej próbie stworzenia scenki polskiej w Jerozolimie. Tym razem zrezygnowano nareszcie ze zbyt ambitnych projektów grania repertuaru klasycznego, który zawsze publiczność narażał na nieuniknione zawód, teatr zaś na niewspółmierne wydatki i sposobność do niebezpiecznych porównań z najlepszymi scenami w Polsce.

Nie znaczy to jeszcze, by na przyszłość nie sięgnąć do łatwiejszych sztuk Fredry, nie przygotować wieczoru wielkiej poezji romantycznej i młodopolskiej, albo by teraz pochylać szczególnie wybór Bus-Fekete’ego. „Jan”, bowiem, posiadając popisową rolę tytułową, jest właściwie sztuką blachą. Pozując na komedię społeczną, nie ma istotnej myśli społecznej, powtarza szablonowe typy sceniczne, a w zakończeniu jest po prostu wyrazem reakcyjnych tendencji. Sztukę mogłoby chyba uratować tylko ujęcie satyryczne i wyśmianie groteskowych polityków zarówno prawicowych jak i lewicowych, z których każdy w pogoni za spódniczką gotów łatwo zrezygnować z poselskiego mandatu i ministerialnej teki.

Na czoło wykonawców wysunęły się panie, pierwsze zaś miejsca wypadła podzielić między b. dobrą Katinę (W. Wyrzykowska) i pełną natu-

ralności i wdzięku żonę premiera (O. Majewska). P. Cieszański ma niezaprzeczone zdolności i temperament sceniczny. Jego Jan grany był żywo i inteligentnie — byłby bardziej przekonujący, gdyby obowiązki kamerdynera spełniał równie powściągliwie jak swe zadania posejskie. W pozostałych rolach wystąpili z powodzeniem: p. Szczepińska, p. Molda i p. Kamiński.

Osobne słowo należy się p. Szczepańskiemu. Swego czasu, jako sprawozdawca dwóch pism polskich, ukazujących się w Palestynie, zmuszony byłem właściwie ocenić tzw. „Teatr Polski na Uchodźstwie” za wystawienie sztuki niemieckiej bez ujawniania jej pochodzenia. Spełniając wówczas obowiązek dziennikarski skrytykowałem ostro instytucję i zarząd zesrołu, nie mając oczywiście intencji dotknięcia p. Szczepańskiego jako człowieka. Tym bardziej dziś mogę z przyjemnością stwierdzić, że ów aktor, mający za sobą wieloletnią pracę na różnych scenach polskich, wycofał się z niefortunnego imprezy i wziął udział w pożytecznej pracy, jaka było ponowne uruchomienie Koła Przyjaciół Teatru w Jerozolimie.

Jako reżyser „Jana” wykazał on szereg zalet, przygotowując staranne przedstawienie o wyrównanym poziomie. Przydało by się wprowadzić kilka technicznych wskazówek dla niektórych wykonawców, ale na ogół trzeba przyznać, że jak na zespół amatorski, osiągnięto немало. Natomiast w roli premiera p. Szczepański mniej miał powodzenia. Dał sylwetkę z bulwarowej farsy, podczas gdy inni — zapewne pod wpływem wskazówek reżysera — grali konwersacyjną komedię. Na tle straconej reszty zespołu, ekscentryczny premier odbijał jaskrawo i chyba trudno było widowni połączyć z owym groteskowym panem prymitywne mądrości i szlachetności, które mu przysnaje tekst sztuki.

Szczególne uznanie należy się dekoracjom p. Terleckiego. Były one zręczne, lekkie, kulturalne, a dzięki ich zręczności technicznej, po raz pierwszy na polskim przedstawieniu w Jerozolimie przerwy okazały się krótsze od aktów sztuki. zb.

W najbliższych numerach dwutygodnika

„W D R O D Z E”

ukaza się m. inn. utwory i artykuły następujących autorów:

St. Balińskiego, Wł. Bączkowskiego, J. Bielatowicza, T. Borowicza, A. Bregmana, Zdz. Bronca, L. Ciechanowieckiej, Wł. Chomy, J. Czapskiego, M. Danilewiczowej, J. Erdmana, M. Wańkowicz-Erdmanowej, A. Fiedlera, W. Grubińskiego, G. Herling-Grudzińskiego, M. Hemara, por. Herberta, rabina J. W. Hirsberga, J. Jasińczyka, M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ks. K. Kantaka, R. Kiersnowskiego, Ign. Kleszczyńskiego, B. Kobrzyńskiego, prof. M. Kridla, R. Krygiera, M. Kuncewiczowej, J. Lechonia, J. Lenczowskiego, M. Łojewskiego, A. Międzyrzeckiego, H. Naglerowej, por. Nowaka, Z. Nowakowskiego, B. Obertyńskiego, J. Olechowskiego, J. Ostrowskiego, J. Pietrkiewicza, Al. Piskora, Wł. Polaka, Al. Janty-Polczyńskiego, M. Petry-Radwańskiej, W. Rajkowskiego, J. Rostworowskiego, P. Rysiewicz, J. Relidzińskiego, Scrutatora, prof. St. Stronńskiego, T. Sowińskiego, S. Swiderskiego, W. Szyrńskiego, W. Tar-nawskiego, T. Terleckiego, M. Wańkowicza, W. Wasutynskiego, J. Wedowa, W. Weintrauba, K. Wierzyńskiego, J. Wittlina, T. Wittlina, S. Zahorskiej, K. Zbyszewskiego, T. Żukowskiej, J. Żywiny

obok artykułów następujących autorów angielskich:

B. Baxtera, MP., Artura Koestlera, R. Manwella, Charles Morgana, J. B. Priestley’a, Johna Russella, O. Wachsmanna, H. Watta.

na chleb i „safo”, i tak samo w przerwach odwiedzał skrzynię z odpadkami. Dopiero jednak zbliżywszy się do niego, zrozumiałem, jak wielki kontrast istnieje w współczesnych Rosjan między formami ich życia a wychowaniem politycznym. Lisienko ma duże oczytanie, ale oparte wyłącznie na sowieckiej literaturze i prasie. Jego pogląd na świat był żywcem wzięty z łamów „Izwestii”. Głową miał nałożoną liczbami statystycznymi. Posiadając kolosalną pamięć, znał wszystkie cyfry statystyk światowych, które mu były potrzebne do jego komunistycznych wywodów. Innych nie znał i nie wierzył, żeby były prawdziwe. Na swój sposób wykształcony, z zawodu był monterem w jednej z niezliczonych stacji traktorowych, obsługujących rolnictwo rosyjskie nad środkową Wołgą. Chwalił sobie życie w Rosji, ale mówił o nim tak, jakby nigdy już nie miał tam wrócić.

— Przecież wrócisz po wojnie — powiedziałem kiedyś w rozmowie.

— Nie wiadomo, jak to będzie. Nawet jeśli wrócę — to już nie to samo.

— Dlaczego?

— Widzisz, nasz Stalin uznaje w czerwonej armii tylko tych, co zwyciężyli, a więc bohaterów, i tych, co zginęli lub są ranni. Stalin nie uznaje jeńców wojennych, i tak samo nie uznają ich nasi dowódcy. A ja jestem jeńcem, choć Niemcy o tym nie wiedzą.

— No, ale przecież jeśli wrócisz, to cię nie zabiją?

— Nie wiadomo. Różnie o tym mówią. Ale u nas się mówi między sobą, że właściwie to nie ma po co wracać; że jesteśmy tu jakby na początku tamtego świata. Jak wrócisz, albo „zlikwidują”, albo cię też tak gdzieś wsadzą, że długo nie pożyjesz. Z naszą wiarą nie ma żartów. Był rozkaz: nie iść do niewoli — to nie trzeba było dać się brać. A teraz trudno, trzeba będzie cierpieć...

Opowiedziałem Lisience, że Gdynia, to port polski, że po wojnie znów będzie polski. Śmiała się tylko.

— Jak ty możesz tak mówić. Po wojnie nie będzie żadnej Polski. Tu będzie tak samo, jak i wszędzie — Związek sowiecki.

— Jak to tak samo, jak wszędzie?

— A no wszędzie — Niemcy, Francja, Anglia, wszystkie te wasze burżuazyjne państwa będą należały do Związku Sowieckiego. Kapitalizm po tej wojnie zniknie na całym świecie. Czerwona armia zawojuje Europę i cały świat... Zobaczysz... Ty nie wiesz, jak czerwona armia będzie silna za rok. Silniejsza niż wszystkie armie świata.

— A ty skąd wiesz?

— Uczyli nas w naszej szkole podoficerskiej. Wiesz, ile będziemy mieli w r. 1945 samolotów? Ile dział? Ile czołgów?

I tu zaczął sypać cyframi, bijącymi na głowę cyfry wytwórczości amerykańskiej.

— Nikt się nam nie oprze — mówił dalej. — A Stalin dotrzyma tego, co powiedział. Tak będzie — zakończył z przekonaniem.

Stwierdziłem później, że Lisienko był jednak wyjątkiem wśród Rosjan. Inni chcieli wrócić i wierzyli w powojenny raj w Rosji. Wszyscy byli tak samo niesłychanie prymitywni, gdy chodzi o formy i potęcia o cywilizowanym życiu, jednak na swój sposób wykształceni, uspołecznieni i uświadomieni politycznie, choć jednostronnie. Umysłowość ich i wiara w Stalina dziwnie przypominały umysłowość i wiarę hitlerowców w Fühlera. Toteż Rosjanie odnosili się do swojej rzeczywistości ze spokojem. Ich normalna stopa życiowa wskutek niewoli ucierpiała niewiele, zresztą w obniżeniu tej stopy można by zdaje się iść niemal w nieskończoność. Mieli bezkrytyczny posłuch dla władzy. Niemcy byli ich wrogami, ale reprezentowali w danej chwili władzę. Należało ich nienawidzić, ale należało również słuchać. Nie zauważyłem u nikogo z nich skłonności do krytyki czy buntu. Z punktu widzenia niemieckiego byli najmniej niebezpieczni. Nie znali języków, nie mogli więc robić propagandy, nie stawiali oporu i odznaczali się posłuszeństwem.

Przyznam, że robili na mnie trochę niesamowite wrażenie. W cywilizowanym świecie nie są zjawiskiem codziennym — takie zdrowe, silne postacie ludzkie w cuchnących łachmanach, porośnięte brudem i palącymi zależonymi na śmietniku niedopałkami papierosa, lecz wygaszającymi przy tym inteligentne żargonem komunistycznych gaset wyrobione poglądy na wojnę, politykę i ekonomię światową, syjące cyframi oraz argumentami naukowymi i cytujące uznane przez sowiecki pogląd na świat międzynarodowe autorytety naukowe z każdej niemal dziedziny.

Czynili oni wrażenie udoskonalonych robotów na usługach zwartego, potężnego mechanizmu państwowego. Byli zupełnie obojętni na wszystko, co do ich ideologii nie należało. Nie przyjmowali do wiadomości żadnych argumentów. Poznawszy ich, zrozumiałem, jakie zagadnienie światowe może stworzyć dwieście milionów takich jednostek ludzkich. Cały nacjonalizm razem z jego operetkowym Führerem w porównaniu z tą masą, mającą realną podbudowę w przestrzeni i naturalnych bogactwach kraju, wydał mi się dziecinną zabawką...

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Hassolei Street No. 9.
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.